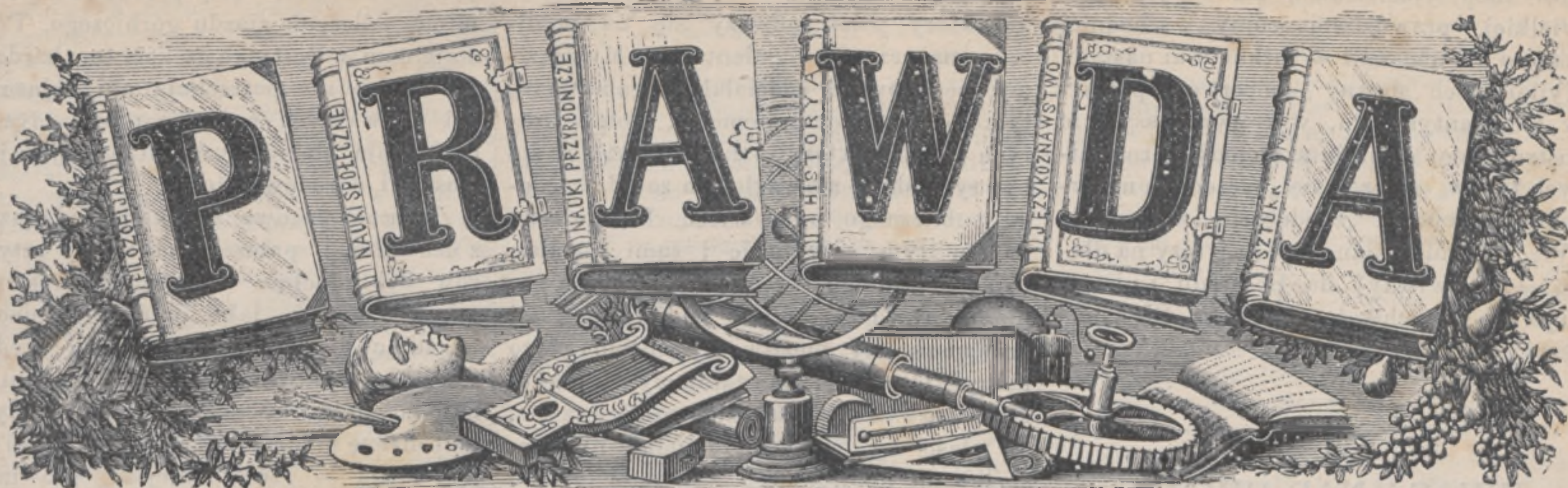
№ 47. Warszawa, dnia 21 (9) Listopada 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

WIDOWISKO SŁOWIAŃSKIE.

Rozmyślał, długo rozmyślał, pozostałe w torbie guldeny liczył, aż wreszcie postanowił „przywrócić naruszoną równowagę" i wkroczył na czele pastuchów do sąsiedniego kraju. Naturalnie wydał jednocześnie manifest. Opowiada w nim, co najmniej tonem szacha perskiego, że „nie może dłużej zachowywać się obojętnie" ani względem niesforności band bułgarskich, którą dotąd „znosił cierpliwie," ani względem połamania przez nie traktatów — i musi dobyć miecza. Jakoż dobył miecza król Milan i wyruszył na poskromienie Bułgaryi. Między innymi (równej ważności) powodami do wojny gazety wymieniały jakąś niewinną babę, pędzącą wołu pasem granicznym. Czy owa baba z wołem wpłynęła na losy Europy, czy też nie, w każdym razie nadaje się wybornie jako ilustracya przyczyny marszu wojennego armii serbskiej. Coś mizerniejszego i niegodziwszego trudno sobie wyobrazić.

Telegram doniósł, że dzienniki czeskie gwałtownie wystąpiły przeciwko Serbii. Najzupełniej rozumiemy i podzielamy ten zbiorowy głos oburzenia. Ani w zjednoczeniu się Bułgaryi, ani w stosunkach sąsiedzkich król Milan nie mógł odnaleźć poważnej i uczciwej racyi do napaści; jedyną słuszną—i to dla niego słuszną—racyą było nierozważne uruchomienie armii, które pochłonęło wiele pożyczonych pieniędzy i które trzeba było koniecznie wynagrodzić jakimś urwanym z Turcyi kawałem. Nie wypadki zmusiły Serbię do wojny zaczepnej, ale lekkomyślność jej rządu, który ciągle chwieje się i podtrzymuje kłamaną zuchowatością, który, zamiast spokojnie wyczekiwać rozwoju zdarzeń i skorzystać z pomyślnego ich obrotu, pozazdrościł sławy Filipowi z Konopi i pozwolił sobie kosztownej zabawy w państwo gotowe do boju. Nie ulega wątpliwości, że Ajaks serbski nie mógł się cofnąć z pochyłej drogi, na którą samowolnie wstąpił, że prawie nie mógł zdjąć swej zbroi — ale po co ją wkładał? Czemu dzikie instynkty swego narodu połechtał nadzieją dostarczenia im łupu? Za to, że on zbłądził, mają pokutować bułgarowie?

W dziejach półwyspu Bułkańskiego najazd serbski będzie stanowił jedną z najohydniejszych kart, tem wstrętniejszą, że zapisaną przez naród, który tak niedawno zaczął żyć samodzielnie. Napady tureckie na Słowiańszczyznę okrzykiwane są dotąd jako wylewy barbarzyństwa, a przecież poruszała nimi zawsze pewna, chociaż w fanatyzmie wylęgła, ale wyższa idea. Tymczasem jaka idea przewodniczy pochodowi armii serbskiej na Bułgaryę? Osławiona „równowaga?" Polityka zazdrośnika, który sam kości zjeść nie może i drugiemu jej nie da? Chęć zamordowania brata za to, że będzie miał posiadłość o kilka zagonów większą? Jeżeli naród serbski nie przegnił, jeżeli w nim dochowały się szlachetniejsze uczucia, nie zgadujemy, czem go zagrzewa do bratobójczej walki król Milan. To bowiem, co dotąd słyszymy, jest dobrem hasłem dla rozbójniczej bandy, ale nie dla narodu, nie dla państwa.

Dziwnie losy najgrawają się nad tą biedną Słowiańszczyzną! Przez kilka, kilkanaście lat z rzędu świat słucha bajki o „braciach," o ich przysięgach i miłości, o ich wielkiem posłannictwie, o bliskiej już chwili łącznego ich wystąpienia na widownię polityczną, nagle jeden „brat" porywa drugiego za czub, depcze nogami, obdziera ze skóry i oblewa potokami nienawiści. Wtedy istotnie można i należy wątpić o prawdzie całej tej bajki. Ludy słowiańskie mają tak uderzający w oczy interes utrzymywania między sobą zgody, tak wyraźnem jest dla nich wspólne niebezpieczeństwo, że jeśli szarpią się i gnębią wzajemnie, musiały albo jeszcze nie nabyć, albo już stracić zdolność polityczną. I obecne gorszące widowisko, jakie wywołała Serbia, jest nowym tego dowodem. Z którejkolwiek strony patrzeć na nie będziemy, zewsząd przedstawi nam się jako prawny i moralny skandal, jako polityczna łobuzerya lub rozbójnictwo.

No, ale co wyniknie z tego zamętu na półwyspie Bałkańskim? Prasa i gabinety mają jedną, od lat wielu we wszystkich wypadkach powtarzaną a dla Europy bardzo niezaszczytną odpowiedź, że „ostateczny zwrot rzeczy zależy od — ks. Bismarka." Siła i powaga mocarstw zainteresowanych w grze, prawa narodów, potrzeby cywilizacyi—wszystko to nie wchodzi do rachunku najbliższej przyszłości, o ile go nie podpisze dyktator z Warzina. Straszny obraz! Ludzie zrzekają się dobrowolnie rozumu, sumienia, władzy i palą je jak kadzidła na ołtarzu bożyszcza!

Według dotychczasowych doniesień serbowie zwyciężyli na wszystkich punktach i daleko już sięgnęli w głąb' Bułgaryi. Armia ich, znacznie liczniejsza, nieźle wyćwiczona i posiadająca dobrych suflerów austryackich, mogła zasadnie spodziewać się tych tryumfów nad szczupłą, młodą i niezorganizowaną zbieraniną bułgarską. Na nieszczęście oprócz suflerów istnieją jeszcze maszyniści, którzy otrzymawszy znak, spuszczają zasłonę. Serbowie, którzy dziś ledwie zadowolniliby się granicami państwa Duszana, prawdopodobnie przekonają się, że pasek, na którym chodzą, nie sięga zbyt daleko i że będą musieli „zawiesić swą broń" nie wtedy, kiedy im, ale kiedy komuś innemu się podoba. Dotąd z głównej ich kwatery — w Wiedniu nie wysłano jeszcze rozkazu wstrzymania kro-

ków nieprzyjacielskich, ale — jeśli czas wielkiej, prawdziwej wojny wschodniej jeszcze nie nadszedł — rozkaz taki nastąpi. Tylko niech sławny „koncert europejski“ w Konstantynopolu, w którym wszystkie instrumenty grają inne melodye z rozmaitych tonów, nastroi się „życzeniem utrzymania pokoju“ i „zgodnością interesów.“ Wtedy król Milan powróci (czy na długo — nie wiemy) do Belgradu i ukoronuje się się chwałą—bohatera Słowiańszczyzny.

UWAGA NAD UWAGĄ.

Dniewnik warszawskij na marginesie świeżo zakończonych obrad górniczych zapisał znamienną uwagę, którą warto nietylko podznaczyć, ale i rozebrać. Mianowicie dziwi on się bardzo, że w obecnej chwili — w chwili rozbudzenia się poczucia narodowego i nienawiści do niemców za doznaną krzywdę, żaden z miejscowych członków zjazdu choćby pobieżnie nie dotknął potrzeby zatamowania ekonomicznego zaboru giermańskiego w Królestwie polskiem. Byłoby to — według *Dniewnika* — tem bardziej naturalnem, że przemysł górniczy u nas jest głównie opanowany przez cudzoziemców, że główne jego pola (np. powiat bendziński) są już zniemczone, że kolej dęblińsko - dąbrowska, przebiegająca okolice pod względem kopalnym najbogatsze, sprowadzi niewątpliwie nowe fale giermańskie.

Tą tak ważną sprawę powinien był podnieść zjazd górniczy.

Wielka szkoda, że *Dniewnik* powinność tę wskazał mu po skończeniu obrad, zamiast przed rozpoczęciem ich. Mniema on, że trzy przyczyny złożyły się na pominięcie owej sprawy w obradach zjazdu: 1) to, że górnicy miejscowi stanowili w nim mniejszość, za słabą do walki z przewagą cudzoziemców; 2) to, że licznie uczestniczyli żydzi, sympatyzujący z niemcami — i 3) to, że „rzadko który polak odważy się na publiczne naruszenie — galanteryi.“ My sądzimy, że głównie oddziałała tu galanterya, tylko nie względem niemców, wobec których rzadko który polak odważyłby się być rycerskim, ale względem zasady każdego publicznego u nas wiecu. I kształcono nas w tym przymiocie i sami kształciliśmy się długo — nic też dziwnego, że nieraz uwydatniamy go nadmiernie i ani przypuszczamy możliwości zniżenia jego miary. Oto dlaczego żałujemy, że artykuł *Dniewnika* ukazał się po niewczasie. W właściwej porze niezawodnie rozgrzeszyłby on miejscowych członków zjazdu z galanteryi, którą oni uważali za konieczność. Skądże któremukolwiek z nich na myśl przyjść mogło, że głosem w sprawie giermanizacyi przemysłu i ochrony od niej kraju nie wybiegłby po za granice programu obrad?

Ks. Hohenlohe — powiada *Dniewnik* — prosił o trzysta sztolni, zawierających rudę i węgiel; otrzymał znacznie mniej, ale nie powinien był dostać nic. Należałoby wzbronić oddawania cudzoziemcom gruntów, obfitujących w skarby mineralne, jak również wydzierżawiania i kupowania przez nią; należałoby również w tych okolicach ubezpieczyć mocno własność ziemską włościan. Skutkiem przeprowadzenia drogi dęblińsko-dąbrowskiej grunta wzdłuż niej położone stały się kęsem, szczególnie dla cudzoziemców pożądanym. Niech przemysł górniczy rozwija się tam nawet nieco wolniej, *ale niech pozostanie krajowym.*

Jeśli o rzecz chodzi a nie o formę, to niema nic straconego. Co miejscowi członkowie zjazdu — gdyby nawet zyskali większość dla swych wniosków — mogli byli zrobić? Przeprowadzić jakąś uchwałę i przesłać ją do sfer prawodawczych. To samo załatwił *Dniewnik*, którego głos te sfery słyszą a przytem słyszą także głosy innych dzienników rosyjskich, ubolewających również nad giermanizacyą Królestwa polskiego. Jeśli więc w tej sprawie mają być przedsięwzięte jakieś środki ochronne, będą przedsięwzięte pomimo milczenia zjazdu górniczego. Pozostaje nam więc tylko czekać, tem bardziej, że władze nie potrzebują ani objaśnień, ani prywatnych rad, ani próśb, gdyż dobrze znają ekonomiczny stan kraju i jego stosunki narodowościowe.

Dniewnik posuwa się dalej i żąda, ażeby z uchwalonej przez zjazd szkoły sztygarów był zupełnie wyłączony język niemiecki, nawet „jako przedmiot nieobowiązujący.“ To jego życzenie według wszelkiego prawdopodobieństwa spełni się najpomyślniej, chociaż najmniej wpłynie na ochronę przemysłu krajowego. Jaki kto język zna — rzecz mniejsza, główna — kim jest i być chce. Wychowańcy szkoły na znajomości niemczyzny nic by nie stracili, a wiele zyskali. Zupełnie inna sprawa—wzbronienie niemcom nabywania kopalń w Królestwie. To nietylko potrzebne — to konieczne. Granica bowiem Niemiec od wschodu nie przypada razem z polityczną, lecz sięga znacznie dalej i posuwa się tak szybko, że niedługo Królestwo polskie stanie się siedzibą pruskich „braci uciśnionych i tęskniących do swej macierzy,“ których ona zechce „odzyskać.“ *Dniewnik* to przyznaje — sfery wyższe widzą — więc nie wyrzucajmy niedbałości zjazdowi górniczemu — i czekajmy.

SZOPKA.

Stało się, co się stać miało. Trzy dni namyślał się pan minister nad odpowiedzią na interpelacye posłów polskich — oczywiście zbierał przez ten czas dane urzędowe — wreszcie przemówił. Odpowiedź niezmiernie interesująca: „Po co to tyle hałasu — zdawało się brzmieć w jego słowach! O co? — o kilkudziesięciu żydów galicyjskich? Tak jest, o kilkudziesięciu. Według „autentycznych“ informacyi pana ministra tylko 30 rodzin przybyło z Prus do Galicyi a większość ich stanowią żydzi galicyjscy. Reszta wydalonych — poddani rosyjscy; ale ci już nie należą do rzeczy.

LEONIA.

I.

Od najmłodszych lat życia cechowały jej usposobienie dwie charakterystyczne właściwości: zmienność i zajęcie się sobą.

Jako dziecko, nigdy nie wyciągała rączek stale do jednych i tych samych osób: komu dziś pokazywała różowemi usteczkami, że go chce pocałować, tego jutro nie poznawała, a natomiast uśmiechała się do kogoś innego. Jako dziesięcioletnia dziewczynka, darła, gubiła lub rozdarowywała szaliki, rękawiczki, pończoszki, żeby ich nie nosić długo.

Zmienność ta wzrastała z latami, objawiając się na każdym punkcie. Nudzili ją ludzie, widywani często, nudziły zajęcia, uprawiane dłużej nad dwa dni. To, co ją oburzało z rana, wieczorem pociągało jej umysł. Była wrażliwa na śpiew: płakała, słysząc niski, pełny głos, w którym drgały łzy; lecz wogóle nie tęskniła za muzyką.

Myśli jej ciągle krążyły koło samej siebie.

Będąc jeszcze niemowlęciem, wyrywała się z rąk niańki do lustra i całemi godzinami wlepiała wzrok w odbitą na szkle jasną swą główkę i duże czarne oczy, w niebieskie siateczki żył po bokach czoła i w dwa dołki w kątach ust małe, wdzięczne, które starsi całowali z rozkoszą.

Gdy zaczęła chodzić, ubierała się w pelerynki i kokardy matki, rozczesywała włosy, upinała je wysoko lub spuszczała na ramiona, badając swe ruchy. Kładła na palce pierścionki i wyciągała przed siebie białe ręce, nie mogąc im się dosyć napatrzeć.

Gdy wyprowadzono ją na spacer, idąc nie widziała nikogo. Oczy miała spuszczone: śledziła niemi kroki drobnych swych stóp, dla których pełna była podziwu.

Dorosłszy, nigdy nie zajmowała się plotkami. Losy towarzyszek i rówienniczek obchodziły ją nie wiele.

Lubiła te tylko, które umiały, rozmawiając z nią, okazywać zajęcie się jej osobą. Bywały tygodnie, kiedy odwiedzała je często i zapraszała do siebie, poczem—bez powodu zrywała z niemi stosunki i nie widywała ich po całych miesiącach, dopóki przypadek nie zbliżył jej z niemi na nowo.

Wówczas po dawnemu rozpoczynały się zaprosiny i serdeczność, trwająca parę tygodni.

Serce jej przypominało mechanizm fortepianowy. Miała w niem rozłożoną całą gamę uczuć, lecz każde z nich trwało dopóty, dopóki wywoływała je przyczyna zewnątrz. Wraz z usunięciem takowej ginęło, pozostawiając słabe echo, niknące w zupełności za poruszeniem się innego.

Jeżeli rodzice lub bracia spełnili gorące jakie jej życzenie, wówczas kochała ich tak szczerze, tak serdecznie, że miłość ta zdawała się pochłaniać całą jej istotę; przycichała jednak w godzinę po powstaniu, zmieniając się w uwielbienie dla przyjaciółki, która doradziła jej najlepszy gatunek cold crêmu, gubiącego na poczekaniu wszelkie krosty i wyrzuty.

Przychodziły na nią dnie, kiedy struny sercowe wydawały ochrypłe, rozstrojone dźwięki; wszystko ją drażniło, a nic nie zajmowało; sama nie wiedziała, czego chciała.

Kaprysiła wówczas, sprzeczała się z braćmi, z rodzicami, robiąc wszystkim na przekór.

Bracia psuli ją, obsypując tysiącem pieszczot, karmiąc słodyczami, jak ptaka w klatce.

Rodzice ubóstwiali ją.

Roztaczano nad nią najtroskliwszą pieczę, strzeżono każdego jej kroku.

Uczyła się w domu.

Również i zasada sama nie podpada roztrząsaniu. Każdemu państwu wolno dać cudzoziemcom pozwolenie pobytu na swem terytoryum lub go odmówić. Rząd pruski skorzystał z tego prawa, cóż robić? Stoi na gruncie prawnym (*Rechtsboden*), raczył udzielić wyjaśnień, że to sprawa jego wewnętrznej polityki państwowej, spowodowana względami językowymi i wyznaniowymi, wreszcie nawet przyrzekł poczynić pewne ulgi w wypadkach godnych uwzględnienia i dał już dowody swej uprzejmości w tym względzie — czyż można więcej wymagać? Należy nie zapominać, że pomiędzy zasadami prawa narodów a teoretycznemi wymaganiami jest olbrzymia różnica a interpelanci powołują się tylko na te ostatnie, zapominając o pierwszych, które obecnie bezsprzecznie są rozstrzygające a które właśnie dają rządowi pruskiemu możność postąpienia w taki sposób, jak to uczynił. Poddawać krytyce powodów tego postąpienia pan minister nie może, podobnie jak zapuszczać się w badanie przedstawionych mu statystycznych dowodów, co do których interpelanci objawili pewne wątpliwości. Zresztą minister ubolewa nad wydaleniami i współczuciem darzy cierpiących z powodu tego surowego postąpienia."

Po tem poszły jeszcze rozmaite słodkie słówka, minister niby odpowiadał na każdy punkt interpelacyi, to łącząc pytania, to rozdzielając kwestyę „teoryi" od istniejącej „zasady prawnej," wyraził coś na kształt zdziwienia, że del. Hausner chciał, ażeby z całą sprawą odnieść się do niemieckiej Rady związkowej, kiedy przecież jest stała reguła, że tylko między uwierzytelnionymi w tych państwach posłami a ministerstwem spraw zagranicznych może istnieć stosunek dyplomatyczny— a potrąciwszy wreszcie o traktat wiedeński z r. 1815 i wypowiedziawszy zdanie, że wobec zmienionego zupełnie położenia, boć wtedy była mowa o nieistniejącem już W. Ks. warszawskiem, obwodzie tarnopolskim itp., tudzież wobec całego szeregu nowych specyalnych ustaw trudno powoływać się na postanowienia kongresu, zakończył zapewnieniem, „że będzie robił, co będzie mógł" i użyje całego swego wpływu dla obrony interesów obywateli austr.

Na tem przemówieniu nie skończyła się szopka. Trwała jeszcze przez chwilę. Polscy deputowani zwrócili uwagę ministra, że jego dane sięgają tylko po 15 października a właściwy napływ wychodźców przypada właśnie na czas między 15 października a 1 listopada, wyjaśnili mu, że i żydzi są obywatelami austryackimi a galicyjscy obchodzą Galicyę, że wedle wykazów statystycznych edykt pruski dotknął 9,000 obywateli austr., że żadnego nakazu nie cofnięto i że w powyższej odpowiedzi nie mogą znaleźć spodziewanego zaspokojenia ani dla siebie, ani dla dalszych sfer. Ale nie zbrakło w przemowach delegatów podziękowania „za uprzejme wyjaśnienia" a wszczególności za dwa oświadczenia, które wymownie świadczą o humanitarnem usposobieniu pana ministra i rządu, na którego czele on stoi.

Oczywiście pan minister w skromności swej po tych słowach krótko zaznaczył, że mówił tylko o takich cyfrach, które mu były przystępne, a jeżeli delegaci dostarczą mu innych, zasięgnie dalszych wyjaśnień. Potem dwaj jeszcze niemcy wyrazili swoje ubolewanie „nad niezwykłem i nieodpowiedniem zasadom ludzkości uogólnianiem prawa państw do wydalania poszczególnych cudzoziemców," ale przyznali, że rząd wszystko, co tylko było w jego mocy, zrobił i że więcej uczynić nie mógł — i sprawa edyktu po raz już drugi przed forum parlamentarnem nie znalazła rozwiązania.

I szopkę zasłonięto.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 11 listopada.

Przesilenie gabinetowe. — Nowy minister. — Różnica pomiędzy rządem a prawicą. — Z delegacyi. — Wystawa Wereszczagina. — Jego „biblijne obrazy." — „Święta rodzina." — Arcybiskup a malarz. — Arcybiskupia reklama. — Odczyt geologa Suess'a. — Wybuch w kopalniach węgla. — Środki zaradcze. — Dzieło Helferta.

Mieliśmy częściowe przesilenie gabinetu. Minister oświaty i wyznań br. Conrad usunął się a następcą jego został sekretarz ministeryalny, pełniący obowiązki dyrektora akademii teresiańskiej, p. Gautsch. Jest to dygnitarz zupełnie nieznany, najmniejszej przeszłości politycznej za sobą nie mający. Ale jakżeż można mówić o niej przy człowieku, który ma lat 34 i dotychczas tylko ściśle poświęcał się swojemu zawodowi urzędowemu? Dziwić się przeto nie można, iż to mianowanie opinia publiczna przyjęła z największem zdumieniem, i że sprawa przesilenia ministeryalnego, w ten sposób załatwiona, nastręcza prasie wciąż jeszcze dużo materyału do najrozmaitszych uwag i do najróżnorodniejszych wniosków. I rzeczywiście, zasługuje ona na zastanowienie:

Powołanie takiej „niepolitycznej" osoby do gabinetu posiada niemało politycznego znaczenia. Wobec zamierzonych przez prawicę reform w ustawodawstwie szkolnem wprowadził hr. Taaffe do swojego gabinetu urzędnika, z zupełnem pominięciem tejże prawicy, czego ona żadną miarą na swoją korzyść tłomaczyć nie może. Równocześnie krążą pogłoski że również ministrowie handlu i skarbu mają odejść, i że ich następcami zostaną podobni urzędnicy, jak p. Gautsch. Jeżeli by te pogłoski sprawdziły się, to czekałyby nas bardzo ważne zmiany polityczne, zupełna przeróbka gabinetu w kierunku urzędniczym, co oznaczałoby także i częściową zmianę całego systemu politycznego. Obrady w delegacyach świadczą również, że pomiędzy rządem a prawicą nie istnieją tak ściśle stosunki przyjaźni, jak dawniej. Owszem, ujawniły się dość wydatne różnice. Minister wojny hr. Bylandt wystąpił przeciwko szkołom narodowym, stawiając jako dogmat utrzymanie języka niemieckiego w armii, i żądając rozszerzenia jego nauki i na szkoły ludowe. Ten nadmiar gorliwości spowodował odparcie ze strony polskich i czeskich posłów, którzy udowodnili, że język niemiecki jest dostatecznie pielęgnowany w szkołach narodowo słowiańskich, czem jednakże minister wcale się nie zadowolnił. Ale również i politykę hr. Kalnokego spotkał opór śród czeskich i polskich przedstawicieli delegacyjnych. Podczas kiedy bowiem dr. Rieger żądał od niego liczenia się z wolą narodów słowiańskich, która tym razem jest zupełnie zgodną z dobrze pojętym interesem państwa, nie występowania przeciwko unii bułgarskiej i nie popierania Serbii w bratobójczych jej zamiarach wobec Bułgaryi; polscy delegaci Czerkawski i Hausner wnieśli interpelacyę w sprawie wydalań pruskich, interpelacyę tym razem stanowczo i dobitnie wyrażoną, na którą miał minister odpowiedzieć przy „najbliższej sposobności." Wiadomo że przy znanej uległości i zależności Austryi wobec Niemiec odpowiedź ta wypadła niezadawalniająco. Replika na nią jest niezbędna, z czego wynika, iż stosunki pomiędzy prawicą a rządem mogą prawdopodobnie

---

Matka dobierała nauczycielki i pilnowała trybu nauk, do których córka brała się z niechęcią.

Wpajano w nią zasady cnoty; mówiono dużo o wstydzie i skromności kobiecej.

Z zachwytów dziecka nad swą zewnętrzną postacią śmiano się: w czternastoletniej dziewczynce zaczęto je ganić ostrożnemi, delikatnemi napomnieniami.

Do siedemnastego roku życia nie wprowadzano jej na żadne większe zebrania. Tańczyła z dorosłymi po raz pierwszy, skończywszy lat szesnaście. Odtąd wpadła w wir zabaw.

Przed każdym balem zamykała drzwi swego pokoju, tłomacząc matce, iż nie chce, aby jej kto przeszkadzał przy ubieraniu się. Zostawszy sama, zdejmowała suknię—i wszystko, począwszy od przezroczystych pończoszek i podwiązek, zastosowanych do koloru balowej toalety, kładła przed dużem, stojącem lustrem, dumna z alabastrowej białości swego ciała.

Wchodząc na bal, zwieszała się na ręku brata. W oczy, na usta jej wkradał się wyraz zmysłowego upojenia. Nęciła śnieżystemi ramionami, kształtnie zaokrągloną szyją i falującemi piersiami.

Taniec odurzał ją. Wir walca i polki kołysał jej nerwy uczuciem rozkoszy.

Każdy, obejmujący ją wówczas silnie mężczyzna, mógł zostać łatwo panem jej woli.

Po balach marzyła, bujając się w fotelu z przymrużonemi powiekami i głową, wtył przechyloną.

Stały tancerz ostatniego wieczora zajmował tło jej wyobraźni. Reszty towarzystwa nie pamiętała.

Na zebraniach zwracała uwagę tylko na tych, co słowami lub wyrazem twarzy zdołali okazać zajęcie się nią. Ogół otoczenia był dla niej najzupełniej obojętny. Mówiła mało. Wodziła po wszystkich oczami, które sąd powszechny mianował: „pięknemi, lecz bez duszy."

Nie przebijał w nich żaden głębszy wyraz. Poruszały się machinalnie pod cieniem długich rzęs, padających na matowe policzki. W źrenicach tylko od czasu do czasu połyskiwały suchym blaskiem dwie smugi światła, zdradzające zadrzemane gdzieś w głębi życie, które podnieta zzewnątrz mogła łatwo rozbudzić.

Wychowanie jej miało na celu utrzymanie serca i umysłu w jaknajgłębszej nieświadomości. Ukrywano przed nią wszelki realizm, który wydawał się rodzicom czemś obydnem. Na pytania, jakie zadawała, pobudzana ciekawością, odpowiadano jej zawsze wymijająco. Braciom nie było wolno odezwać się przy niej z czemkolwiek, coby mogło podrażnić jej wyobraźnię.

Nieraz który z nich miał coś cynicznego na ustach, lecz jedno spojrzenie ojca przerywało zaczęte słowa.

Z towarzyszkami bawiła się zawsze w obecności nauczycielek, które kierowały rozmową dzieci.

Niechętna do nauki, nie lubiła książek.

Często widywała w ręku matki najświeższe francuskie romanse, nigdy jednak nie przyszło jej do głowy zajrzeć, co w nich było.

Nie miała pojęcia o zmysłowych upojeniach. Pomimo to nieraz, gdy przesunęła rękę po aksamitnej swej szyi i ramionach, przechodziły ją dreszcze, instynkt szeptał, że istnieją na świecie rozkosze, w które jej jeszcze nie wtajemniczono, a które pozna z czasem.

Drżała, oczekując ich...

* *
*

Karnawał szalał w całej pełni.

Pod opieką matki i brata pojechała na trzecią maskaradę.

Pierwszy raz w życiu znalazła się wśród piszczących masek, w gorącem, dusznem

uledz jeszcze większemu zamąceniu. To też twierdzą niektórzy, że przesilenie w gabinecie przedlitawskim pozostaje w związku z różnicą zdań, jaka objawiła się pomiędzy przedstawicielami prawicy a reprezentantami wspólno-państwowego rządu.

Ale nietylko na polu politycznem mamy do zapisania niespodzianki; również w dziedzinie sztuki opinia publiczna uległa silnemu wstrząśnieniu. Bohaterem dnia jest rosyjski malarz Wereszczagin, który mniej więcej przed tygodniem urządził w tutejszym *„Künstlerhausie“* wystawę swoich obrazów, obejmującą przeszło półtora sta dzieł pendzla. Jeżeli pod względem wartości artystycznej ta druga wystawa obrazów Wereszczagina ustępuje stanowczo miejsca pierwszej urządzonej przed czterema laty w Wiedniu, na której podziwialiśmy znakomite jego utwory (sceny z rosyjsko tureckiej wojny), za to dosadnością i drażliwością przewyższa wszystkie dotychczasowe. Mianowicie obrazy biblijne Wereszczagina, zawierające sceny z życia Chrystusa, stały się nad wszelki wyraz, nie mówimy sławne, ale głośne. Uderza w nich przedewszystkiem przesadzony realizm. Artysta kosztem piękna wysilał się na drastyczną oryginalność. Jezus jego przedstawia nam się jako postać najzwyklejszego żyda, który żadną miarą nie wygląda na wielkiego reformatora ludzkości. Długie, białe, zabrudzone ubranie, długie rude włosy, postać nikła — oto jego znamiona na obrazach Wereszczagina. Twarzy prawie wcale nie widać, ponieważ na dwóch płótnach Jezus namalowany tylko z tyłu. Tam, gdzie w ćwierć lub pół profilu ukazuje się nam jego oblicze, jeszcze większego doznajemy rozczarowania, gdyż mamy przed oczyma twarz zupełnie bezmyślną, nie ładną, niczem niezdradzającą przynajmniej człowieka wyższego umysłu, ale za to sprawiającą na widzu pewną odrazę, co niezawodnie nie było zamiarem artysty Efekt ten musimy przeto uważać jako wynik przesadzonego realizmu, a dlatego odmawiamy stanowczo wiedeńskim fejletonistom prawa nazywania Wereszczagina „Renanem pendzla.“ Pomiędzy jego „biblijnymi“ obrazami znajduje się jeden, który nie zaprzeczenie posiada o wiele więcej artystycznych zalet, aniżeli inny, Przedstawia on „świętą rodzinę“ wedle ewangelij Łukasza, Mateusza, Marka, Jana i Pawła. Rzecz dzieje się w domu rodziców Jezusa. Ojciec hebluje jakąś deskę w podwórzu domostwa pełnego nieczystości i rozmaitych rupieci. Kury i gęsi igrają na ziemi z dziećmi. Z lewej strony siedzi na odłamie muru młody Jezus, czytający jakiś zwitek pergaminowy, a w głębi Marya dająca pokarm piersi dziecięciu. Jest to rodzina Chrystusa. W katalogu objaśnia nam artysta, że Chrystus wedle dosłownego tekstu powyżej wymienionych ewangelistów posiadał czterech braci mianowicie: Jakóba, Józefa, Szymona i Judasza jakoteż i kilka siostr. Rzecz cała przedstawiona jest z ścisłą prawdą i wielkiem wykończeniem artystycznem, chociaż postać Jezusa i na tym obrazie, oddana tak samo nikle i bez żadnego wyrazu jak na poprzednich.

Przed cyklem tych płócien przesuwała się przez kilka dni publiczność dość obojętnie, a tylko tu i owdzie zatrzymywano się dłużej, uśmiechano się nad ich drastycznością i ekscentrycznością. Tymczasem miejscowa władza kościelna postarała się dla nich o reklamę i obecnie ściągają one tłumy widzów. Arcybiskup wiedeński zwrócił uwagę na „świętą rodzinę,“ uznając ją jako sprzeczną z nauką katolickiego kościoła, a przeto gorszącą, i udał się do rządu z prośbą o rozkaz usunięcia z wystawy tego obrazu. Dzienniki pochwyciły sprawę zatargu pomiędzy arcybiskupem a malarzem, rozbierając ją długo i szeroko, wydobywając najdrobniejszy jej szczegół i upiększając najrozmaitszemi uwagami. Wszczęła się niezwykła wrzawa. Arcybiskup w walce przeciw obrazowi rozwijał niesłychaną gorliwość i energię. Uderzono na alarm we wszystkie dzwony klerykalne. „Precz z bezbożnym obrazem!“ rozlogło się jako hasło bojowe na całej linii tego obozu. Jednakże rząd nie uczynił zadość żądaniu kościoła. Obraz pozostał na wystawie a arcybiskup zrobił tylko nadzwyczajną reklamę dla Wereszczagina, nadawszy jego wystawie nie błogosławieństwem, ale przekleństwem niezmiernej siły przyciągającej.

Mieliśmy niedawno ciekawy odczyt geologa, profesora Suessa o wybuchach gazów w kopalniach podziemnych. Tysiące ludzi padają tam corocznie, a nauka nie wynalazła dotychczas środka, któryby skutecznie ochraniał górnika przed tym najniebezpieczniejszym i najstraszniejszym wrogiem. W zeszłym roku nawiedzoną była i Austrya wielkiemi katastrofami, które przyprawiły o śmierć lub pokaleczenie kilkaset ludzi. Odczyt p. Suessa był bardzo pouczającym. Mianowicie zajmował on się cennemi próbami, jakie w tej sprawie przedsięwzięto zeszłego roku w kopalniach węgli w Karwinie na Szląsku. Prelegent zaznaczył, jako fakt stwierdzony doświadczeniami, że wybuchy w kopalniach przychodzą rzadko kiedy osobno. Zauważono bowiem, że następują one po największej części przy znacznych i nagłych zmianach powietrza. Z tego wynikło domniemanie, że pomiędzy obydwoma zjawiskami istnieje przyczynowy związek. Anglicy już przed laty robili badania barometryczne z których okazało się, że zawartość gazu w kopalniach węgli pozostaje w odwrotnym stosunku do ciśnienia powietrza. Jednakże praktyczne wypróbowanie tego wyniku rozbiło się o egoizm anglików, z których żaden nie chciał zezwolić na wstrzymanie eksploatacyi węgli, czego nieodzownie potrzeba było dla praktycznego sprawdzenia teoryi. Rząd niemiecki kazał już w przeszłym roku przedsięwziąć takie badania, a w roku bieżącym robiono doświadczenia dalsze w karwińskich kopalniach węgla, gdzie też wynaleziono przez anglików teoretyczne prawo poparły próby praktyczne. Nie ma tedy już wątpliwości, iż przy zmniejszaniu się ciśnienia powietrza a więc przy każdym spadaniu barometru, mianowicie kiedy to spadanie jest prędkiem i nagłem, niebezpieczeństwo wybuchu w podziemnych kopalniach zwiększać się musi. Przy dalszych badaniach okazało się, że przez zamknięcie szachtu i zwiększoną czynność wentylatora zawartość (?) gazu ulega ogromnemu pomnożeniu. Dlatego należy przy każdym silniejszym nacisku powietrza wstrzymywać roboty na niebezpieczniejszych miejscach, albo też zaniechać je w całych kopalniach. We wszystkich powinny być urządzone stacye barometryczne, co jeżeli nie usunie niebezpieczeństwa zupełnie, to przynajmniej znacznie je zmniejszy.

Wyszedł czwarty tom „Historyi Austryi od początku październikowej rewolucyi r. 1848 do dni dzisiejszych“ Helferta. Dzieło to zawiera niezmiernie dużo ciekawego materyału odnośnie do budzącego się po raz pierwszy w tem państwie ruchu ku wolności. Niniejszy tom zajmuje się w szczególności kampanią węgierską i konstytucyą. Obejmuje więc okres czasu od grudnia 1848 do marca 1849. Nadzwyczaj ciekawym jest opis przebiegu obrad parlamentów w Kromieryżu. Autor przytacza dużo nowych dotychczas nieznanych szczegółów. Praca jego zasługuje ze wszech miar na żywą pochwałę. *S.*

---

powietrzu wązkiej sali, w tłumie, który ją potrącał w tył, w bok i naprzód.

Pod maską nabierała śmiałości.

Światło, ruch, zmienione ubranie, wszystko to działało na nią podniecająco. Piersi jej podnosiły się i opadały szybko, myśli rozbiegały się, wzrok czegoś szukał.

Wreszcie rzuciła matkę i schwyciła ramię młodego człowieka, którego widziała raz tylko w towarzystwie.

Był pierwszym znajomym, jakiego spotkała.

Nie wiedząc o szczegółach jego życia, mogących dać temat intrydze, wspomniała coś o miłości wogóle, a następnie wyznała, iż kocha go skrycie od lat kilku. Wzrok młodego człowieka badał ją ciekawie. W miarę mówienia przejmowała się coraz gorliwiej przybraną rolą; na usta jej wypływały wyrazy prawdziwego, namiętnego uczucia; oczy pod maską pałały; ręka, zwieszona na ramieniu towarzysza, drżała. W gwarnem otoczeniu czarnych, zakapturzonych postaci nie widziała nikogo, prócz niskiego, niebieskookiego mężczyzny, który ją prowadził. Chwilami sądziła, iż niknie wśród ogólnego szelestu, a tylko słowa jej, szeptane zmienionym cokolwiek głosem, żyją i poruszają się, wpływając wprost do ucha słuchającego.

Muzyka grała. Kilkanaście masek we wgłębieniu sali tańczyło krakowiaka. Pary suwały się. pochylone ku sobie, wiodąc intrygę za wachlarzami czarnych domin.

Ścisk mógł odebrać wszelką rozwagę.

Leonia nie zastanawiała się nad tem, co mówiła człowiekowi, z którym przetańczyła jednego mazura i kilka walców.

Po półgodzinnem suwaniu się tam i napowrót w wązkiej nawie sali sprowadził ją po schodach na dół.

Odetchnęła pod wpływem świeższego powietrza.

Gdy obchodzili wodotrysk, od którego wiał chłód, stanęła i, patrząc z pod maski w oczy towarzysza, zapytała: „nie poznaje mnie pan?“

— Jeżeli jesteś tą, którą odgaduję po wzroku, ruchach i mowie, to uwielbiam cię, jako żyjącą Wenorę...—brzmiała odpowiedź.

Stanęli przed lustrem, w którem odbijały się pstre sylwetki przechodzących.

— Patrz — rzekł w dalszym ciągu młody człowiek — twój wzrost dorównywa mojemu, twoja twarz ściągła, którą widzę w myśli, przypomina moją. Jesteśmy stworzeni dla siebie. Szaleję za tobą. Gdybyś pozwoliła, ściągnąłbym pantofelki z twych nóżek i ucałował bose twe paluszki...

Usiedli w wysokich, czerwonych fotelach i, trzymając się za ręce, patrząc sobie w oczy, nazywając się Leonią, Henrykiem, mówili o swej miłości...

Przed odejściem Leonia szepnęła swój adres.

Jadąc do domu, czuła, jak pierś jej wzbiera rozkoszą. Zasypiając, śniła, iż Henryk całuje ją. Obudziwszy się rano, powiedziała sobie, że kocha pierwszą i jedyną miłością.

Gdy o zmierzchu, siedząc na kanapie i patrząc na latarnie, pozapalane przed domem, tonęła w marzeniach, pełna ruchu i gwaru wczorajszych masek, służący wszedł i postawił przy niej trzy doniczki fijołków z biletem: „dla przypomnienia wczoraj!“

Ulubiony zapach owiał ją. Zdawało jej się, że pokój pełen fijołków, z po za których patrzą na nią blado niebieskie pytające oczy. „Całowałbym bosą twą nóżkę“ powtarzała głosem Henryka i przypominała sobie, jak stali przed lustrem, trzymając się za ręce i przytulając do siebie.

Przechodziły ją słodkie dreszcze.

Potrzebowała zrzucić z siebie część rozkoszy: usiadła i o zmroku przy słabem świetle latarni pisała o swej miłości, którą zadawalniały jeszcze słowa i wspomnienia.

PO OBU BRZEGACH DUNAJU.

VI.

Żaden kraj—pisze Laveleye—nie zasługuje z większą słusznością na miano demokracyi, jak Serbia. Begowie tureccy zginęli lub wypędzeni zostali w czasie walk o niepodległość, włościanie zaś serbscy zostali wyłącznymi panami ziem, które zajmowali. W Serbii nie ma ani wielkich właścicieli, ani arystokracyi. Każda rodzina posiada na własność grunta, które uprawia sposobem pierwotnym. Proletaryat, dzięki zadrugom, był nieznany, starodawne prawo zabraniało sprzedaży na rzecz wierzycieli domu wraz z dwoma i pół hektarami ziemi, konia, wołu i sprzętów gospodarskich. We wsiach nie ma zupełnie robotników, żaden serb nie zgodzi się zostać służącym; kucharze nawet i służące przybywają z Kroacyi i Węgier. Gdy rolnik wraz z swą rodziną nie może podołać zbiorowi siana lub zboża, zaprasza do pomocy sąsiadów, których gości następnie na dożynkach. Płaca zarobkowa nie istnieje, usługa za usługę. Czyż nie jest to wiek złoty? — zapytuje ekonomista belgijski. Na nieszczęście dumni ci serbowie — powiada autor —którzy do niedawnego rozbrojenia nie rozstawali się nigdy z bronią, są złymi rolnikami. Pierwotna ich socha, ciągniona przez cztery woły, rozdziera raczej niż przewraca ziemię. Po kukurudzy następuje pszenica lub żyto, a potem kilkoletni ugor. Zaledwie trzecia część ogólnego obszaru jest pod uprawą. Ilość inwentarza, zdaniem Laveleye'a, jest bardzo niedostateczną, ponieważ jednak na 4,900,000 hektarów kraj liczy 1,820,000 mieszkańców, wypada przeto po dwa i pół hektara na głowę, ilość zupełnie wystarczająca nietylko na własne wyżywienie lecz i na wywóz. Serbia wywozi średnio za 30 milionów fr. produktów zwierzęcych i za 8 do 10 milionów zboża, owoców i wina. Przyrodzone bogactwo kraju jest znaczne. Połowa obszaru, 2,400,000 hektarów, zajęta jest przez lasy i góry; ziem uprawnych 800,000 hekt., łąk i pastwisk 430,000. Kukurydza stanowi główny produkt; średni jej zbiór daje 448,327 ton, żyto 250,000, 33,000 owies, 80,000 inne ziarna. W kraju liczy się 826,550 bydła rogatego, 122.500 koni, przeszło $3^1/_2$ miliona owiec i milion z górą trzody chlewnej. Zaznaczyć wypada, że ostatnimi czasy jednocześnie ze wzrostem ludności daje się zauważyć upadek ilości żywego inwentarza. Ludność wzrosła w stosunku 2,2 na 100 i w dawnych serbskich okręgach zwiększyła się z 1,000,000 w r. 1859 do 1,516,660 w r. 1882. Tymczasem, w tymże okresie czasu ilość bydła rogatego spadła z 801,296 na 709,000, koni z 139,801 na 118,500, trzody chlewnej z 1,772,011 na 958,440. Jest to zwykły rezultat tego — dodaje autor — co nazywamy postępem cywilizacyi. Przyrastająca ludność musi się zadawalniać pokarmem przeważnie roślinnym. I dawna Germania, według Tacyta, żywiła się przeważnie mięsem i mlekiem, dziś kartoflami i żytnim chlebem. Ponieważ Serbia od niedawna dopiero wstąpiła na drogę cywilizacyi, stosunek inwentarza do zaludnienia jest tu jeszcze korzystniejszym, niż w krajach zachodnio-europejskich. Trzeba się udać do ziem nowo zajętych, jak Australia lub Stany Zjednoczone, ażeby znaleść stosunek ten równie pomyślnym, jak w Serbii. Serb spożywa dziś jeszcze mięso 150 razy na rok.

Trzoda chlewna była tem dla Serbii, czem śledź dla Holandyi: głównem źródłem jej zamożności handlowej i politycznego wyzwolenia. Bohaterowie, którzy rozbili flotę Filipa II-go, zajmowali się połowem śledzi, Miłosz zaś i jego towarzysze hodowali i handlowali trzodą chlewną. Niezliczone stada tych zwierząt w stanie napół dzikim tuczyły się w wielkich lasach Serbii środkowej żołędziami. Pędzono je następnie ku Sawie i Dunajowi. Dziś lasy dębowe wyniszczone a słonina amerykańska wkracza już zwycięzko do Serbii. Mimo to w r. 1881 wywieziono 325,000 „zjadaczy żołędzi.“ Hodowla w Serbii znajduje wielką podporę w służebnościach na ziemiach skarbowych i gminnych.

Podróżnik składa wizytę prezydentowi ministrów Piroszanacowi i ministrowi skarbu Mijatowiczowi, który studyował ekonomię polityczną w Anglii, jest członkiem klubu Cobdena i łamie sobie właśnie głowę nad statutem serbskiego banku narodowego. Projekt zresztą ustawy skopiowany jest literalnie ze statutu banku belgijskiego.

Młodzi serbscy mężowie stanu pragnęliby obdarzyć kraj swój co rychlej wielkim przemysłem fabrycznym. Prawo uchwalone w r. 1873 upoważnia rząd do udzielania przedsiębiorstwom przemysłowym, któreby chciały usadowić się w Serbii, monopolów na lat 15, obok różnego rodzaju ułatwień i przywilejów. Mimo takiej przynęty jedna dotąd tylko fabryka sukna założoną została (w Paraczynie) przez przedsiębiorców z Morawii. W zamian za tę łaskę rząd obowiązany jest kupować w niej wszystko sukno dla armii po cenach o 10 procent wyższych od zwykłych. Laveleye gani ten eksperyment, na którym nie wygrywają nawet robotnicy, zarabiający w niej od 1 fr. 50 do 2 fr. dziennie. W kraju — mówi autor — gdzie każdy jest właścicielem i uprawia własny zagon, godzina fabrycznego przemysłu jeszcze nie wybiła; brak tam proletaryatu, któryby napływał w znacznej ilości i pracował za tanie pieniądze. Jest atoli nadzieja, że Serbia osiągnie zczasem i ten stopień cywilizacyjnego rozwoju... Uganianie się za przemysłem fabrycznym przypisuje Laveleye temu poglądowi, że kraj pozbawiony fabryk jest barbarzyńskim. W ten sam błąd wpadły Włochy. Widok wysokich kominów nadaje okolicy wygląd zachodnio-europejski, a to jest właśnie w modzie! Serbia nie zna też systemu dzierżaw, brak więc jej także bogatych próżniaków, którzy zaludniają wielkie miasta i nadają ton życiu towarzyskiemu. Belgrad liczy tylko 36,000 osób; całe zaludnienie miejskie nie przewyższa 200,000. Wieśniacy tworzą dziewięć dziesiątych ludności, której potrzeby zaspakaja przemysł domowy. Czyż życzyć sobie należy, ażeby przemysł ten został jaknajrychlej zabity przez popierane współzawodnictwo fabryczne, które trwałe i malownicze tkaniny krajowe zastąpi tanimi wyrobami z bawełny? Świeży zresztą traktat handlowy z Austryą, zawarty w r. 1881, zapewnia liczne przywileje austryackiemu przemysłowi, Serbia więc może mieć tanie fabrykaty obce, które niższym kosztem zdławią przemysł rodzimy. Dzięki istniejącym już dawno ułatwieniom celnym, nie pomogły nic ponętne propozycye, jakie robił rząd serbski przemysłowcom, którzyby raczyli zakładać fabryki w Serbii. Już w r. 1879, kiedy przywóz przedstawiał się w sumie 86 milionów fr. obustronna wymiana z Austryą wynosiła 65 milionów. Austrya wcześnie umiała pozawierać korzystne *grenz-tarify* z Serbią, Włochami, Rumunią...

Laveleye zwraca uwagę Serbii na jedno jeszcze groźne niebezpieczeństwo. W kraiku tym dług publiczny rośnie jak na drożdżach, obarczając mieszkańców i rujnując wioski. Długi są szczególnie uciążliwe w krajach oddalonych od rynków zachodnich, gdzie produkt tani a pieniądz rzadki.

Czekała przez kilka tygodni na bladego Henryka. Pieściła jego imię. Pragnęła z nim mówić.

Nie przychodził.

Tym, co go pytali: „Jakże tam panna P., którą się tak zachwycałeś po ostatniej maskaradzie?“ odpowiadał:

— Znakomita na kochankę obok solidnej żony. Szkoda, że ma rodziców i braci: możnaby oberwać porządnego guza w razie zawracania mózgu.

Pamięć o Henryku zacierały niejednokrotnie przelotne karnawałowe ideały: to szczupłego malarza, który, tańcząc z nią, tak pięknie prowadził mazura, że wszystkich oczy zwracały się ku nim, a pisma nazajutrz rozpływały się nad urokiem młodej, dobranej pary; to znowu posępnisty matematyka, nieprzyjmującego udziału w zabawie, a ścigającego wzrokiem każde jej poruszenie i czekającego na nią w buduarze z wygłoszeniem tysiąca jaknajdziwaczniejszych poglądów.

Ku wiośnie maskaradowe wspomnienia ożyły. Ruch w przyrodzie wzmagał niepokojące szmery serc rozkochanych.

Leonia całemi godzinami powtarzała słowa miłości, wymawiane przez Henryka i upajała się w myślach wonią fijołków, które od niego dostała.

Tęskniła. Pobladła trochę. Twarz zaszła wyrazem smutku.

Bracia, chcąc ją rozerwać, urządzili wycieczkę za miasto w licznem towarzystwie.

Kolega najstarszego z nich, doktór, ofiarował jej ramię na wstępie do parku, w którym postanowiono się rozgościć, i prosił, aby mu pozwoliła być rycerzem swym przez cały wieczór.

Błądzili do późnej nocy po wysypanych żwirem alejach, prowadząc obojętną rozmowę, podtrzymywaną przez doktora, który celował w opowiadaniu anegdot z czasów koleżeńskiego życia.

Księżyc wszedł.

Stanęli nad stawem, w którym kąpały się srebrne promienie.

Głosy pozostałego towarzystwa dobiegały z daleka po rosie; zresztą—było cicho dokoła.

Doktór zamilkł. Spojrzeli oboje w ciemną masę stojącej wody, usianej liliami. Pochylone ich głowy zbliżyły się do siebie tak, że za pierwszym powiewem wiatru włosy Leonii musnęły twarz jej towarzysza.

Zaczerwienił się. Leonia, wsparta o jego ramię, uczuła wstrząśnienie całego jego ciała. Rzucił na nią błyszczące, przenikliwe spojrzenie, wyciągnął ręce, jak gdyby chciał ją objąć, lecz po chwili opuścił je, wyprostował się i ciągnął dalej przerwane nad stawem opowiadanie.

Przez kilka tygodni marzyła o nieodebranym uścisku, którego chęć odgadła. Miejsce bladego Henryka w pamięci i wyobraźni zajął pulchny, nie wysoki, rumiany doktór o szerokiem czole i białych rękach.

Wiedząc, iż przed dziesiątą podąża do szpitala na sąsiedniej ulicy i musi przejeżdżać koło okien jej pokoju, wstawała rano, czesała się przez godzinę, przymierzała w lustrze całe szeregi negliżów, wreszcie siadała na oknie w przezroczystym szlafroczku, odsłaniającym całą szyję.

Pierwszego dnia doktór spojrzał w górę i złożył ukłon; lecz wszystkich następnych czytał pilnie gazetę...

Drażniło ją to do wysokiego stopnia. Wpadała chwilami w taką złość, że rwała w kawałki batystowe chustki od nosa lub koronki przy sukni.

Na zapytania rodziców, co jej jest? nie chciała odpowiadać.

Widziano ją często z zapłakanemi oczami. Wargi jej ściągnęły się, nadając twarzy nieprzyjemny wyraz.

Nie pisała o swem uczuciu, gdyż słowa i wspomnienia nie mogły jej zaspokoić: pożądała nieodebranego uścisku... (D. n.).

Łatwość zaciągnięcia pożyczki jest wielką pokusą; usłużni bankierowie mają kiesy otwarte, ambitne zadania państwowe, potrzeby armii, różne reformy wewnętrzne, wszystko to pochłania olbrzymie sumy, które topnieją jak śnieg na majowym słońcu—dług jednak pozostaje i rośnie nawet sam przez się. Wynosił on niedawno dopiero 130 milionów, a mimo to procenty dosięgły już 7 milionów, co stanowi poważną cyfrę w budżecie państwowym 34 milionów. Serbia wchodzi na niebezpieczną drogę, która zgubiła Turcyę. Dla pożyczenia 5 milionów na kupno 100,000 karabinów Mauzera, rząd odstąpił niedawno anglo-austryackiemu bankowi monopol soli na lat 15. Nie wiem, pod jakimi warunkami zaciągnęła Serbia ostatnią 20 milionową pożyczkę, o ile się nie mylę, w wiedeńskim „Länderbanku,“ któremu gubernatoruje b. galicyjski marszałek hr. Ludwik Wodzicki.

Laveleye odwiedza redakcyę postępowego rządowego dziennika *Videlo* i zawiązuje bliższą znajomość z jego redaktorem p. Komarcziczem. Rozmowy toczą się o życiu politycznem w młodem królestwie. W Serbii istnieją trzy partye: konserwatyści, postępowcy i radykalni.

Konserwatystom przewodniczy Risticz, wybitny mąż stanu. Wchodził on do rady regencyjnej po śmierci księcia Michała i za małoletności Milana. On także kierował polityką zagraniczną w trudnym okresie wojny turecko-rosyjskiej, następnie zaś reprezentował Serbię na kongresie berlińskim, który jej przyniósł dwie prowincye—Nisz i Pirot. Risticz zrzekł się władzy, nie chcąc się zgodzić na wymagania Austryi podczas układów o traktat handlowy. Gdy gabinet wiedeński zagroził zamknięciem swych granic dla serbskiego wywozu, kanonierki zaś austryackie na Dunaju przyjęły postawę wyzywającą, Serbia ustąpiła i Risticz podał się do dymisyi. Były minister uważany jest za zwolennika Rosyi. Sam on przeczy temu. „Dla kraju mojego—mówił do belgijskiego wędrowca—pragnę przedewszystkiem tego, co zdobyliśmy ceną krwi własnej—niepodległości. Powinniśmy zachować dobre stosunki z Austryą, nie powinniśmy jednak zapominać o tem, co Rosya dla nas zrobiła. Jej to obowiązani jesteśmy, że żyjemy. Rosya interweniowała na naszą korzyść podczas pokoju w Bukareszcie 1812 r., następnie zaś w 1815, 1821 i 1830, pomagając do naszego wyzwolenia. Nie wspominam już o wojnie ostatniej. Od Rosyi to jeszcze wyczekiwać możemy wyzwolenia plemion słowiańskich, oswobodzonych traktatem w San-Stefano, a poddanych znowu pod jarzmo traktatem berlińskim. Przyjaciele wszystkich, słudzy niczyi—taka powinna być nasza dewiza.“ Na wewnątrz p. Ristioz jest przeciwnikiem reform zbyt pospiesznych i zwolennikiem silnego rządu—konserwatystą. Jest to jeszcze człowiek w sile wieku; mówi jasno i z ożywieniem, postawa znamionuje silną wolę. Zajmuje obszerny dom, bogato umeblowany przy bulwarze Michała, nieopodal Konaku.

Stronnictwo postępowe odpowiada zachodnio-europejskiemu liberalizmowi. Nie ma ono żadnego poszanowania dla dawnych urządzeń, które uważa za zabytek barbarzyństwa. Ludzie z tego obozu chcieliby jaknajrychlej obdarzyć kraj swój tem wszystkiem, co się nazywa cywilizacyą zachodnią: wielkim przemysłem, drogami żelaznemi, bankami, szkołami wszystkich stopni, pięknemi budynkami, dobrze brukowanemi miastami, oświetlonemi gazem, bogatem mieszczaństwem, wiodącem życie wystawne; pragną wreszcie wzmocnić władzę rządu i jego dochody, kraj scentralizować. Król szuka chętnie poparcia w tem stronnictwie. Chodzi mu zresztą przedewszystkiem o wzmocnienie armii, która stać się ma narzędziem ambitnych planów serbskich.

Stronnictwo radykalne dzieli się na dwa odłamy: pierwszy składa się z włościan i wiejskiego duchowieństwa; pragnie on zachować dawne swobody gmin i płacić jaknajmniej podatków, sprzeciwia się więc energicznie innowacyom postępowców. Jest to ta sama partya demokratyczna chłopska, którą, odnajdujemy wSzwajcaryi, Danii, Norwegii. Drugi odłam radykalny obejmuje przeważnie młodych ludzi, którzy kształcili się zagranicą i stamtąd przynieśli z sobą idee republikańskie i socyalistyczne; chcieliby oni je zaszczepić na dawnych urządzeniach autonomicznych. Organem tej partyi jest dziennik *Samouprawa*. W programie radykaliści domagają się zniesienia rady stanu, podziału kraju na sfederowane kantony, sędziów wybieralnych, jedynego podatku postępowego od dochodu i milicyi narodowej zamiast armii stałej.

W razie wolnych wyborów do skupczyny partya chłopsko-radykalna może mieć większość zapewnioną. Wyborcą jest każdy serb dorosły, płacący jakiś podatek, co równa się prawie powszechnemu głosowaniu. Rozdwojenie istniejące w łonie serbskiego radykalizmu osłabia siłę tej partyi; do tego przyczynia się okoliczność, że zachodnio-europejski socyalizm z trudnością szczepić się daje na chłopskim komunizmie rolnym. Chłopi odstępują często swych miejskich przywódców, a wtedy rząd postępuje z nimi w sposób przypominający czasy tureckiego panowania. Niedawno właśnie mieliśmy przykład tego rodzaju.

Nie mogę się wstrzymać od oświadczenia—powiada Laveleye—iż partya postępowa, starając się pospiesznie zaprowadzić w Serbii porządek, wytworzony we Francyi przez pierwszą rewolucyę i cesarstwo, jest na złej drodze. Dąży ona do ideału, od którego Zachód się już odwraca. Stare swobody gminy są tak cennym zabytkiem, że nie należałoby ich niszczyć zbyt lekkomyślnie. Europa musi je dziś odtwarzać z trudnością. Biurokracya jest plagą państw nowożytnych, dlaczegoż wszelkimi sposobami szczepić ją w młodem królestwie? Jak daleko już Serbia zatonęła w tym kierunku, widzimy z tego, że gdy Belgia, mająca $5^1/_2$ miliona mieszkańców, dzieli się tylko na 9 okręgów prowincyonalnych, Serbia z ludnością 1,800,000 podzieloną jest na 21 departamentów i 81 okręgów. Na czele każdego z tych administracyjnych obwodów stoi naczelnik lub podnaczelnik (*prefet* i *sous-prefet*). Administracya stara się narzucić krajowi szablonowe jednostajne urządzenia ze szkodą swobód i odrębności miejscowych. Naśladując ślepo Zachód ze wszystkiemi jego radami, Serbia wytwarza w swem łonie powikłania, które stały się już groźne dla cywilizacyi zachodniej i mogą być bardziej jeszcze niebezpieczne dla małego państewka. Zdaniem Laveleye'a, Serbia powinna zostać krajem przeważnie rolniczym, że zaś państwo tego rodzaju może stanąć na wysokim stopniu cywilizacyi, dowodem dawna Polska, mówi autor, powołując się w tym względzie na orzeczeniu niemieckiego ekonomisty Lista.

Gdyby głos mój mógł być usłyszanym—pisze Laveleye—mówiłbym do serbów: Zachowajcie wasze urządzenia gminne, wasz równy podział ziemi, szanujcie swobody autonomiczne, nie krępujcie ich regulaminami i biurokratyzmem. Starajcie się przedewszystkiem o dobrych nauczycieli początkowych i światłe duchowieństwo, zakładajcie praktyczne szkoły rolnicze, ulepszajcie drogi, pozostawcie szerokie pole inicyatywie osobistej a staniecie się krajem wzorowym, głównem ogniwem krystalizującej się federacyi bałkańskiej. Jeżeli będziecie zbyt skwapliwie naśladować Zachód, wytworzycie zamęt i rewolucye.

Autor zapoznaje się z doktorem Wiladanem Georgiewiczem, organizatorem służby sanitarnej w Serbii. Organizacya ta, którą opisuje szczegółowo, jest wzorową, ułożoną według najnowszych wskazówek naukowych, ma jednak tę wadę, że jest szablonową.

Żałuję, że brak miejsca nie pozwala mi przytoczyć wszystkich zajmujących szczegółów o Serbii, które podaje Laveleye. Stwierdza on, że w miastach przechowały się organizacye cechowe, przypominające angielskie *trades-unions*. Duch stowarzyszenia się jest nader rozwinięty między robotnikami. W Belgradzie znalazł nasz wędrowiec zadrugę krawców, t. j. krawieckie stowarzyszenie produkcyjne. Kodeks cywilny serbski, ułożony za Miłosza, skopiowany jest z austryackiego, z pewnemi zmianami. Córki naprzykład nie przyjmują na równi z synami udziału w spadku; mają tylko prawo do posagu.

Jakie ma Serbia widoki na przyszłość? zapytuje Laveleye.

— Są one, odpowiada, rozległe, nieograniczone, jak marzenia młodości. Rozegzaltowani patryoci marzą o odrodzeniu wielkiego państwa Duszana, co autor uważa za chimerę. Inni znowu tu, jak i w Zagrzebiu, mają nadzieję, że przyszłe państwo serbo-kroackie złączy całe to plemię: kroatów, serbów, słowieńców, dalmatów, czarnogórców w jedną całość. Umiarkowańsi dążą przedewszystkiem do zajęcia Starej Serbii, położonej w północnej części Macedonii, gdzie mieści się tyle serbskich pamiątek: Ipek, dawna stolica serbskich patryarchów, Skopia, gdzie Duszan włożył na swą głowę cesarską koronę Romanii, Deszani, grób dynastyi Niemaniczów i Kossowo, legendowe pole śmiertelnych zapasów z półksiężycem.

Autor, zapisując fakty powyższe, mniemał, że zgromadzona dziś na granicy armia serbska podąży odebrać te stare pamiątki. O bratobójczej wojnie z bułgarami nie myślał nawet.

EGOIZM I ALTRUIZM
(w ekonomii społecznej).

II.

Altruizm, zdaniem Darguna, w życiu rzeczywistem nigdy i nigdzie do wyłącznego nie doszedł panowania. O ile sięga doświadczenie dziejowe, obie zasadnicze formy gospodarstwa społecznego: egoizm i altruizm wciąż stały obok siebie i naprzemiany brały przewagę. Altruizm przejawia się wszędzie tam, gdzie występuje potrzeba ekonomiczna, której egoizm zaspokoić nie jest wstanie, gdzie wypada działać dla drugich bezinteresownie, słowem, gdzie niezbędne we względzie gospodarczym zabiegi wcaleby nie były podjęte, dlatego, że z góry zysku nie obiecują. Płaca, w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu: materyalne wynagrodzenie za pracę, odmawia usług swoich tam, gdzie brak danych do wytworzenia tego pojęcia. A więc, gdy chodzi o biedaków, którzy nie mając nic, tem samem żadnego wynagrodzenia dać nie mogą, i gdy chodzi o bogaczy, których wynagrodzenie nie nęci i którzy dla otrzymania go nie są zdolni do żadnych poświęceń. „Gdyby przeto innych, prócz płacy, nie było pobudek — powtarza za Iberingiem (z dzieła *Cel prawa*) autor — ubodzy i niedołężni musieliby umierać z głodu, a bogacze z założonemi rękami kazaliby pracować na siebie swoim kapitałom, dużo sił zdrowych i zdolności niepowrotnie zatraciłoby się dla ogółu, a stąd społeczeństwo dotkliwe nieraz poniosłoby szkody.“ Tu właśnie szerokie otwiera się pole dla działalności pozytywnej altruizmu. Czyniąc przegląd rozmaitych sfer, w których ujawnia się ta działalność, Dargun

przedewszystkiem zwraca uwagę na rodzinę. Błędnem, podług niego, jest mniemanie, jakoby ten, kto pracuje dla żony i dzieci, czyli, jak się wyrażają niektórzy, dla swojego „ja“ obszerniejszego — miał pracować egoistycznie. „Wprawdzie — mówi on — rodzina w wielu wypadkach daje swemu ojcu i żywicielowi pewien równoważnik za jego trudy, ale równoważnik ten bynajmniej nie jest natury gospodarczej i z tego powodu stosunku familijnego interesem nazwać nie można.“ Podobnie jak mąż, tak samo i kobieta w rodzinie względem współmałżonka swego i dzieci postępuje altruistycznie. Czynności swe gospodarcze wykonywa ona bez specyalnej za to nagrody, płacy nie żąda, ani otrzymuje i trwa na stanowisku swojem nawet w takiem położeniu, któreby każdą obcą osobę skłoniło do natychmiastowego porzucenia zajęć od niej wymaganych. Dosyć wspomnieć tu o przyrządzaniu pokarmów, o szyciu i naprawianiu ubrania, dla dzieci zwłaszcza, o owych tysiącznych usługach osobistych, jak doglądanie chorych itp. Wszystko to przy obserwacyi ekonomiczno-społecznej przechodzi niespostrzeżenie, ponieważ w najmniejszym dokonywa się zakresie, nie uwidocznia nazewnątrz, a nadto wydaje się zwykłem i naturalnem. A jednak drobiazgi te tworzą ogniwo nadzwyczaj ważne w działalności produkcyjno-gospodarczej. Gdyby kiedykolwiek miało przyjść do jakichś poważniejszych usiłowań w celu zastąpienia ekonomicznych dążeń rodziny takiemiż dążeniami obszerniejszego związku podobnego — np. gminy lub państwa — niezwłocznie ogromna nasunęłaby się trudność co do sposobu, w jaki należałoby przedsiębrać pracę, która dokonywa się tu w niezliczonych, małych warsztatach życia. To, co możliwem jest do przeprowadzenia dla setek i tysięcy, wymagałoby aparatu niedoścignionej dotychczas doskonałości, gdyby miało być rozciągniętem na miliony.

Zagadnienie podziału bogactw, które tak jest ważnem, iż pewni bogacze uważają je za jedyne w ekonomii społecznej, głównie zależy od rodziny. Imponującym prawdziwie pod względem gospodarczej doniosłości jest fakt, iż znajdują utrzymanie setki milionów ludzi, którzy konsumują, sami nie pracując nic; nie pracują dlatego, że jeszcze lub już nie są zdolni do pracy. Dla ich miłości ekonomicznie czynni członkowie rodziny odmawiają sobie wielu wygód materyalnych, gospodarstwo w zakresie spożywczym, następnie zaś i w zakresie wytwórczości inną niewątpliwie, zdrowszą przybiera postać, aniżeli w stosunkach nieznających życia familijnego. Jak z doświadczenia wiadomo, popęd do zbytków i marnotrawstwa najsilniej się objawia u osób żyjących w celibacie, podczas gdy wydatki ojców rodziny noszą charakter altruistyczny, pożyteczny i w pewnym stopniu nawet produkcyjny, o ile mianowicie dążą do wytworzenia i podtrzymywania fizycznych podstaw dla siły i zdrowia, dla duchowej i cielesnej dzielności, słowem dla zbiorowego kapitału pracy społecznej. Na poparcie tych twierdzeń Dargun przywodzi słowa Engla wypowiedziane w dziele o wartości człowieka: „Człowiek, choćby się urodził najbogatszym, przychodzi na świat nieudolnym. Życie jego nie przetrwałoby ani dnia jednego, gdyby o nie nie troszczyli się inni. Na szczęście wierna miłość rodzicielska, a zwłaszcza macierzyńska, otacza człowieka od urodzenia, a nawet przedtem jeszcze, i pełna poświęceń towarzyszy mu przez ciąg wieku młodzieńczego.“ Jakie zaś rezultaty wydaje owa dbałość o dobro bezsilnych, dowód tego mamy w kilku cyfrach następujących: 100 osób dorosłych, będących w wieku produkcyjnym, musi myśleć o zaspokojeniu potrzeb jednostek nieprodukcyjnych: w Stanach Zjednoczonych Ameryki — 68, w Niemczech — 59, we Francyi — 45, przyczem za nieprodukcyjnych uważają się wszyscy, którzy nie przekroczyli 15-go roku życia. Połowa ludzi tedy—w Stanach Zjednoczonych i Niemczech o wiele więcej, niż połowa—żyje z pracy cudzej, zawdzięcza byt swój skutkom altruizmu. Faktycznie prąd ów, podsycany przez naturę, zwyczaj i prawo, obejmuje dziedzinę daleko szerszą, aniżeli wskazują liczby powyższe. Liczby te bowiem nie uwzględniają dzieci, których wychowanie trwa dłużej, niż do lat 15-tu, żon, które ekonomicznie dają mniej, a otrzymują więcej, starców niezdolnych do pracy, o ile nie są wstanie żyć z własnych oszczędności, licznych inwalidów, chorych itd. Śledząc za dalszym przebiegiem dążeń altruistycznych, autor upatruje takowe nawet w całkiem luźnych, organicznie niezwiązanych stosunkach ekonomicznych. „Co spożywa przyjaciel u przyjaciela, towarzysz u towarzysza, biedny u bogatego, co obracanem bywa corocznie na cele dobroczynności, gościnności i galanteryi, wszystko to — choć nie mamy pod ręką danych statystycznych — w budżecie społeczności gospodarującej znaczną stanowi pozycyę. Pod tę kategoryę podciągnąć należy wszystkie umowy szczodrobliwe, a głównie darowiznę, pożyczkę bezprocentową, pełnomocnictwo, depozyt i prowadzenie interesów cudzych bez zlecenia. Głęboko sięgający wpływ tego rodzaju aktów altruistycznych czujemy w życiu wszyscy na każdym kroku w znaczeniu zarówno dodatniem, jako i ujemnem.“

Nawet w sferze właściwego panowania egoizmu, w sferze stosunków czysto-wymiennych, istnienie pierwiastku altruistycznego zaprzeczonem być nie może. Pierwiastek ten widzi Dargun w wytwarzających się wśród ruchu ekonomicznego pojęciach o tem, co słuszne i sprawiedliwe, które to pojęcia większość przemysłowców wstrzymują od bezwarunkowego stosowania zasady gospodarstwa egoistycznego.

Altruizmowi niezorganizowanemu, objawiającemu się w rodzinie i po za nią, autor przeciwstawia altruizm zorganizowany, altruizm stowarzyszeń i korporacyj, w których działanie wszelkie na rzecz ogółu ostatecznie daje korzyść jednostkom, w których wszakże nie jednostka jest działającą, a działanie nie na jej rzecz zostaje przedsięwziętem. Czynni tu są przedstawiciele pewnego ogółu na rzecz tegoż ogółu.

Oceniając egoizm i altruizm z punktu widzenia etycznego, autor przedewszystkiem zaznacza, że jakkolwiek czyny moralnie złe po większej części podciągnąć należy pod egoizm ekonomiczny, a moralnie dobre pod altruizm — to przecież nie każdy egoizm jest moralnie złym, tak samo, jak nie każdy altruizm moralnie dobrym. O charakterze obyczajowym danego działania gospodarczo-egoistycznego stanowi dalszy cel jego. Jeśli ojciec rodziny zawiera korzystny stosunek handlowy z miłości i życzliwości dla swoich, z zamiarem zapewnienia im zysku; jeśli uczony dąży do zebrania majątku, ażeby przy jego pomocy poświęcić się na usługi ludzkości i obrócić go na cele naukowe — zmierzające w tym kierunku działania ich ekonomiczne są etycznie dobre; jeżeli natomiast goni ktoś za zyskiem, pragnąc przy jego pomocy np. spełnić przestępstwo jakie, egoistyczne działanie jego w tym razie jest moralnie złem, ponieważ służy za środek do celu niemoralnego.

Co do altruizmu w szczególności, obok takiego, który jest wypływem pobudek etycznie dobrych, odróżnić należy altruizm moralnie obojętny i godny potępienia. Do pierwszego z tych rodzajów autor zalicza altruistyczną działalność urzędnika; temu bowiem, jak powiada, brak etycznego pociągu do działania w interesie innych osób; spełnia on jedynie przyjęte obowiązki służbowe. Inicyatywa w tym wypadku wychodzi od tych, którzy sami te obowiązki ustanowili, bądź w drodze prawodawczej, bądź administracyjnej. Jako rodzaj drugi wymienia szereg owych czynności altruistycznych, które są środkiem do celów egoistycznych ekonomicznej lub nieekonomicznej natury i mają za zadanie sprowadzić korzyść dla spełniającego je lub odwrócić szkodę od niego, jako to: założenie domu przytułku dla otrzymania orderu lub tytułu, uczestniczenie w balach i koncertach dobroczynnych dla własnej rozrywki, inny jakiś czyn filantropijny dla reklamy, robienie ustępstw robotnikom z obawy, gorliwość w usługach dla przypodobania się chlebodawcy, nabożność z obłudy itp.

Za dowód, jak chwiejną jest granica pomiędzy moralnie dobrem, a moralnie złem, posłużyć może to, że czynność pierwotnie etycznie dobra, w razie powtórzenia może się stać etycznie złą. Należy tu np.: dawanie jałmużny ludziom zdrowym i zdolnym do pracy, o czem Schäffle (*Kapitalizm i socyalizm*) powiada, że „to jest komunizm najbardziej uniemoralniający, najchaotyczniejszy, najniesprawiedliwszy i najszkodliwszy.“ „W każdym razie—dodaje Dargun—komunizm taki praktykujemy świadomie codzień—ze słabości. I nie powinniśmy go zaprzestać, jeśli, wobec niedostateczności dzisiejszego miłosierdzia publicznego, nie chcemy widzieć ludzi umierających z głodu przede drzwiami naszemi.“

Zwracając się w końcu do pytania, co pod względem ekonomicznym pożyteczniejszem jest dla człowieka uspołecznionego, egoizm, czy altruizm—autor wyraża przekonanie, że w dzisiejszych warunkach, co do pożyteczności tej pomiędzy obydwoma panuje równowaga. Altruizm posługuje się do celów swoich egoizmem, ten zaś wspiera się na gruncie uprawionym i zabezpieczonym przez altruizm. „Z postępem światła i wiedzy jednak, kończy Dargun, wzmoże się potęga altruizmu. O ile nie zjawi się, jako mesyasz, lecz jako reformator tylko, wypadnie go powitać z radością, gdyż lubo nie zdoła sprowadzić ekonomicznej szczęśliwości wszystkich, niechybnie przecież naprawi niejedno, co dziś o naprawę woła, i znajdzie w sobie siły do skutecznego podźwignięcia dobra ogółu.“

Z tego stanowiska rzecz przedstawia nowa książka Darguna. Główną jej zasługą jest umiejętne usystematyzowanie rozproszonych dotychczas po licznych działach ekonomicznych i socyologicznych poglądów na kwestye egoizmu i altruizmu. Sposób wykładu w niej wogóle jest jasny i przystępny, choć z drugiej strony prawda wyznać każe, że autor w niektórych ustępach grzeszy zbytnią rozwlekłością i jakby umyślną chęcią zaciemniania przedmiotu. Wreszcie pytanie: czemu profesor uniwersytetu *krakowskiego* ogłosił swą pracę po niemiecku? Czy polacy stanowią puszczę, w której głosem nauki odzywać się nie warto?

Ad. J. Cohn.

ODCZYTY.

Opuszczeni.

S. Bełza.

Szeroki ten tytuł, w którym zmieścić by się mogły wszystkie prawie niedole ludzkie, prelegent zastosował tylko do dzieci i kobiet pracujących w fabrykach. Odczyt p. Bełzy, mimowolnie zapewne, stanowił uzupełnienie niejako wykładu p. Marrenowej, która w typach literackich wykazała stopniowy rozwój dążeń kobiet ze sfery

inteligentnej i zamożnej do równouprawnienia. Na nizinach społecznych wobec ciężkiej pracy i cięższej jeszcze nędzy równouprawnienie to w znacznej mierze istnieje, ale tam nie jest ono bynajmniej objawem postępowym w znaczeniu społecznem. Podówczas gdy kobieta z warstw mieszczańskich walczy o rozszerzenie pola swej pracy, partye robotnicze, o ile działają świadomie i nie są wytworem z wierzchu płynącej agitacyi, wypisały na swoim sztandarze: żądanie powrotu kobiety do zajęć domowych, do gospodarstwa i wychowania dzieci. P. Bełza nie uwzględnił znaczenia tego prądu wśród klas pracujących, chociaż on w Anglii lub Szwajcaryi więcej stokroć przyczynił się do ograniczenia lub zakazu pracy kobiet i dzieci, aniżeli wzgląd na interes państwa lub pobudki filantropijne. Zdarzało się wprawdzie, że robotnicy niezadowoleni byli z postanowień prawodawstwa fabrycznego, ale trwało to dopóty, dopóki nie przekonali się, że ograniczenie kobiet i dzieci podwyższa stosunkowo zarobki mężczyzn.

Dla przedstawienia całej grozy tego stanu rzeczy, wytworzonego bezwzględną „wolnością pracy,“ prelegent wybrał cały szereg przykładów. W Anglii dochodziło do tego, że z 1,000 dzieci robotników 983 umierało w pierwszym roku życia, że mąż nieraz piastował dziecko, żona zaś robiła w fabryce, bo przedsiębiorca wolał tańszą pracę niewieścią. W kopalniach pracowały 4-letnie dzieci. Można było by wybrać więcej jeszcze jaskrawszych przykładów. Villermet powiada, że we Flandryi dwuletnie dzieci zajmowały się już robotą koronek. Anglia, kraj najbardziej rozwiniętego przemysłu, pierwsza wystąpiła z ograniczeniem wyzysku dzieci i kobiet.

P. Bełza zaznaczył dosyć szczegółowo ważniejsze przepisy prawodawstw fabrycznych w rozmaitych krajach Europy, ale nie dał wcale charakterystyki ich, gdy tymczasem angielskie np. jest całkowicie prawie wytworem agitacyi robotniczej lub filantropijnej i wogóle — jak całe ustawodawstwo Anglii — składa się z pojedynczych bilów, dotyczących nieraz specyalnych zupełnie stosunków; niemieckie zaś jest płodem opieki państwowej, a opierając się na podstawach teoretycznych, przedstawia się jako całkowity lubo wiele pozostawiający do życzenia systemat. Najlepszem jest prawodawstwo szwajcarskie, tutaj bowiem klasy robotnicze miały możność szerokiego urzeczywistnienia swych dążeń, jako zaś najpóźniejsze co do czasu powstania skorzystać mogło ono z doświadczeń teoretycznych i praktycznych innych krajów. Prawodawstwo szwajcarskie podobnie jak i północno-amerykańskie dotyczy nietylko pracy kobiet i dzieci ale i dorosłych. Na tym gruncie „uregulowania pracy“ powinna być postawioną cała sprawa, czego jednak prelegent nie uczynił. Nie podniósł także szczegółowo szkodliwych wpływów pracy kobiet i dzieci na ich moralność, chociaż ta strona kwestyi również jest ważną jak strona ekonomiczna lub hygieniczna. Zapewne p. Bełza nie uważał za stosowne dotknąć tego drażliwego przedmiotu wobec różnorodnej publiczności, zebranej w sali odczytowej, wzgląd to poniekąd słuszny, zdaje się nam jednak, że dla ważności sprawy możnaby wziąć rozbrat z pruderyą i nie pozbawiać obrazu najbardziej jaskrawych barw, nie pozbawiać swego wykładu najbardziej przekonywających argumentów.

Forma wykładu prelegenta, przesadzona chociaż poprawna, robiła nieprzyjemne wrażenie. Sprawa, w której wystąpił, jest tak ważną i tak słuszną, że nie potrzebuje bynajmniej ani okrasy ani osłony frazesów.

Niewinni.

J. Kamiński.

W poniedziałek p. Kamiński mówił o *Niewinnych*, rozumiejąc pod tą nazwą ludzi, którzy jakkolwiek popełnili przestępstwo, uważani są przez prawo za całkowicie niepoczytalnych, dla których kary niema lub też za działających pod wpływem afektów, i wskutek tego karanych łagodniej. Prelegent usunął zupełnie z wykładu swego kwestyę wolności woli, dobrowolnie więc pozbawił go szerszej, filozoficznej podstawy. Twierdzi on, że prawo karne nie może przyjąć poglądów deterministycznych, gdyż w takim razie pozbawiło by się racyi bytu, bo karanym może być tylko człowiek, który działa świadomie, którego wola jest swobodną. Jest to jeden z tych błędów, które każdy powtarza nie zastanawiając się nad nimi. P. Kamiński był jednak na dobrej drodze, kiedy mówił, że każdy czyn ma swoje pobudki, kiedy wspominał o całym łańcuchu wzajemnie wiążących się przyczyn. Nieuzasadnionem jest również zdanie, że determinizm w skrajnych swych kierunkach wygłasza zniesienie wszelkiej odpowiedzialności. Każdy kierunek ma zawsze pewien zastęp szaleńców, za których jednak odpowiedzialności przyjąć nie może. Owszem przeciwnie determinizm jest w logicznych swych wynikach daleko surowszym dla przestępców, on tylko tłomaczy zbrodnię, ale jej nie usprawiedliwia i jego *odpowiedzialność społeczna* jest bardziej bezwzględna i nieubłagana. Szkoda, że prelegent nie poruszył tych zasadniczych pytań, które bezwątpienia bardziej zainteresowałyby publiczność, aniżeli ciasne ramki prawniczego poglądu, w jakie wykład swój zamknął. W ograniczonym jednak własnowolnie zakresie odczyt posiadał wiele przymiotów.

P. Kamiński wyłożył rzecz swą jasno i przystępnie, w toku odczytu nie odbiegał od przedmiotu, ale myśl swą prowadził systematycznie. Takie popularyzowanie kwestyj prawnych byłoby bardzo pożądanem, szkoda tylko, że prelegent wybrał przedmiot odpowiedniejszy dla socyologa lub psychologa, niżeli dla prawnika, który stoi na gruncie praktycznym i lęka się zejść z niego. Obawa ta zresztą jest zupełnie uzasadnioną; dotychczas bowiem nauka prawa jest tajemniczym przybytkiem, do którego światło nowoczesnej wiedzy przez szczeliny tylko zagląda. Budynek ten trzyma się za pomocą sztucznych podpór, zwalenie zaś jednej z nich zburzyć może gmach cały. Należałoby jednak wspomnieć chociaż ubocznie o t. z. pozytywnej szkole prawa karnego o tych rewolucyonistach zuchwałych, zwłaszcza, że pomiędzy nimi znajduje się prawdziwy Samson-Lombroso, który wstrząsa kolumnami, podpierającemi stary gmach. Pominięcie Ferri'ego, Lanessana, Maudsleya niczem się nie da usprawiedliwić, ponieważ prelegent sam zaznaczył, że w pracy swej uwzględni najnowsze wyniki badań. Streszczenie ich teoryj przekonało by słuchaczów, że zarówno determinizm jak i zastosowanie metody przyrodniczej w dziedzinie prawa karnego nie dążą bynajmniej do zwalenia porządku społecznego. Publiczność sądzić może, że oprócz poglądów jakie wygłosił p. Kamiński i które może są rzeczywiście ostatnimi wynikami badań dla prawników, nie istnieją żadne inne, świeższe prądy w nauce prawa. Oto np. prelegent nazwał Griesingera przedstawicielem szkoły antropologicznej. Może kiedyś nosił on ten tytuł, ale dziś nie posiada do niego prawa wobec Lombrosa i innych prawdziwych przedstawicieli teoryi antropologicznej.

P.

LITERATURA ŻYDOWSKA.

P. Gustaw Karpeles, zaszczytnie znany pisarz niemiecki, rozpoczął świeżo wydawnictwo obszernego dzieła, mającego obejmować dzieje piśmiennictwa, stworzonego przez żydów od czasów najdawniejszych do chwili obecnej, bez względu na formę i język, a co do wieków średnich bez względu na treść nawet *). Piśmiennictwo to trwa od lat przeszło trzech tysięcy, a podejmując jego zobrazowanie autor miał na celu dowieść, że życie duchowe ludu żydowskiego stanowi część wielkiej pracy duchowej ludzkości całej, i że literatura jego jest ważnym czynnikiem w powszechnej. Przedmiot tak określony i pojęty, p. Karpeles dzieli na sześć okresów. Pierwszy biblijny, sięga aż do roku 200 przed Chrystusem i mieści epokę literatury starohebrajskiej i narodowej samoistności żydów. Językiem utworów odnośnych jest wyłącznie hebrajski, a polem działania Palestyna. Drugi, żydowsko-helenistyczny, rozciąga się mniej więcej do r. 100 po Chrystusie. Utwory tego okresu pisane są przeważnie w języku greckim, mało bardzo w hebrajskim, a widownia akcyi przenosi się z Palestyny do Egiptu i nawzajem. Trzeci obejmuje prawie całe tysiącolecie i ze względu na najważniejsze dzieło, które w nim wzięło początek, słusznie nosi nazwę talmudycznego. Język aramejski, a po części arabski; miejsce—głównie Babilon i Palestyna. Czwarty, żydowsko-arabsko-hiszpański, ciągnie się blisko przez trzy stulecia. Językiem tu arabski, hebrajski i aramejski, a polem działania Afryka północna, Hiszpania, Włochy, a w części Francya i Niemcy. Okres piąty może być nazwanym rabinicznym, obejmuje blisko pięć wieków, a językiem jego jest mieszanina hebrajskiego z aramejskim. Szósty zaczyna się pod koniec XVIII wieku pod wodzą Mendelsohna i jego szkoły. Najważniejsze utwory z tej dziedziny pisano są w języku niemieckim, choć obok nich pojawiają się i inne w hebrajskim i prawie we wszystkich językach nowożytnych. Ostatni ten okres doprowadzony jest do r. 1870.

Samo pobieżne już przejrzenie treści powyższej nakazuje szacunek dla całego ogromu erudycyi i pracowitości autora. Obrobienie materyału zebranego, o ile wnosić można z pierwszego zeszytu, który wyszedł dotychczas, jest pełnem talentu i nauki, a więc nic do życzenia nie pozostawia. Ale nie możemy tu powstrzymać się od jednej uwagi. Niechby sobie istniała oddzielna literatura hebrajska, biblijna czy rabiniczna; ale zbytecznem byłoby wyłączanie pisarzów nowoczesnych, należących do narodu, wśród którego się urodzili i zamykanie ich w osobnej przegrodzie dlatego tylko, że są pochodzenia żydowskiego. Autor chyba nie zamierza tego uczynić.

A. J.

WYDAWNICTWA GWIAZKOWE

(Kobieta w poezyi polskiej).

Skromnie, bardzo skromnie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przedstawi się tegoroczny bazar gwiazdkowy. Zastój, ogarniający wszystkie dziedziny życia, sparaliżował również literaturę bieżącą i jej ruchy wydawnicze. Nowa książka jest rzadkością, bo wstrzemięźliwość od „zbytków,“ do których także drukowa-

*) *Geschichte der jüdischen Literatur. Berlin u Openheima.*

ny papier należy, stała się przykazaniem chwili obecnej.

Świeżo wydany nakładem Gebethnera i Wolffa ilustrowany przez Andriollego zbiór *Kobieta w poezyi polskiej*, zawierający bądź całostki wierszowane, bądź ustępy z poematów, poświęcone niewieście, usiłuje w krytycznej porze zyskać względy tej, która nieraz ratowała piśmiennictwo, a raczej wydawców — kobietę. Jest to faktem, że gdy mężczyzna już czytać przestaje, kobieta jeszcze nie wyrzeka się czytania. W pomyślnych i niepomyślnych czasach mąż kupuje w prezencie książkę żonie, prawie nigdy żona mężowi.

Co do samego zbioru jest on naturalnie przystrojony wytwornie. Mieści zaś w sobie próbki niemal wszystkich piór znakomitszych, zacząwszy od Kochanowskiego i Morsztyna, a skończywszy na Asnyku i Gomulickim. Zaledwie potrzebujemy dodawać, że dla czytelniczki ciekawem jest obejrzenie tej tęczy, którą ręce poetyckie nad jej głową rozpięły.

LIBERUM VETO.

Nawoływania do tworzenia gromad. — Brak zdolności do pracy łącznej. — Ilustracya tej wady. — Karność niemiecka. — Przerost indywidualizmu. — Warunki rzeczywiste. — Tworzenie stronnictw. — Potrzeba programów i leki w kramach dziennikarskich. — Stara hygiena. — Proces p. Żmurki o potwarz literacką. — Taka pora. — *Nil admirari.* — Właściwa droga. — Poranek dla Królikowskiego. — Występ p. Popiel-Święckiej. — Oklaski, żale i łuk tryumfalny.

Przynajmniej raz w życiu musiałeś słyszeć, czytelniku, od kogoś, że na markach fabrycznych i pieniądzach wielu krajów odbite są święte słowa: „union fait la force,“ że u nas każdy idzie swoją drogą i rządzi się swoim dworem, że gdybyśmy *zechcieli* działać łącznie, to by... Ach, ileż ci wtedy obiecywano — i mnie także! Bo i ja słyszałem nieraz tego rodzaju żale a nawet osobiste napomnienia. Niedawno jeden z młodych literatów westchnął w pewnem piśmie nad tem, że żaden z organów postępowych *nie usiłował* skupić około siebie pokrewnych żywiołów umysłowych. Westchnienie to zawstydziło nas akurat w chwili, gdy podziwialiśmy zręczność, z jaką ów autor dwoma pługami dwie odmienne niwy orze. Dziennikarskie łzy wywoływane są często nie boleścią, lecz mocnem ziewaniem podczas obowiązku zaczernienia pewnej miary papieru — obcierać więc ich nie potrzeba i nie warto. Co innego gdy narzeka ktoś z po za literackiego świata, zwykły czytelnik. Jeśli on się skarży, to widocznie szczerze, nie dla zmycia komuś głowy, nie dla nakropienia zarobkowych wierszy, ale dlatego, że mu istotnie coś dolega. Właśnie taką skargę odebrałem w liście z N. od p. E. Pomówmy więc raz o tem godle, które nam się tak podoba głoszone i spełniane — za granicą.

Daremne są wszelkie złudzenia: natura polska nie posiada zdolności do organizacyi i działania łącznego. Widzimy to na każdym kroku i przy każdej sprawie. Powiedźcie komuś:

— Pawle, dla dobra ojczyzny trzeba wypić Wisłę.

Paweł, jeśli posiada zapalny temperament, natychmiast pobiegnie do Wisły i zacznie ją wypijać, dopóki się nie udusi. Ale powiedzcie mu:

— Pawle, dla dobra ojczyzny musimy we dwóch przynieść codzień przez miesiąc wiadro wody z Wisły do kolumny Zygmunta.

Pierwszego dnia Paweł przyjdzie i obowiązek swój spełni, drugiego—spóźni się, trzeciego — zaśpi, czwartego wyjedzie do Marcelina, a dziesiątego o powinności całkiem zapomni.

Rzeknijcie komuś:

— Mateuszu, zakładam pracownię ubiorów: ja będę krajał, chcesz szyć?

— I owszem.

Szyje Mateusz przez tydzień, dwa, trzy, ale w czwartym spóźnia się, w piątym hula, w szóstym rzadko przychodzi, bo gdzieindziej znowu — kraje.

Zajrzyjcie do wszelkich stowarzyszeń, spółek, redakcyj zbiorowych — wszędzie zobaczycie to samo: łączna praca rwie się. Jeśli zaś na szyldach firm spostrzeżecie skojarzone nazwiska, to: Gebethner i Wolff, Temler i Szwede, Werner i Norblin, Lilpop Rau i Löwenstein, Hille i Dietrich itp. Są to dziś po większej części rzetelni i dobrzy polacy, ale szczepieni na pniach niemieckich, francuskich lub angielskich. Podczas studyów uniwersyteckich w Niemczech zaproponowałem razu pewnego jednemu ze studentów, ażeby pojechał ze mną na wycieczkę za miasto:

— Nie mogę — odrzekł — przygotowujemy się w pięciu do egzaminu i napisaliśmy sobie ustawę, która wyznacza markę kary za każde opuszczenie wspólnej pracy; mam zaś tylko jedną markę, która mi potrzebna na obiad.

— Ach — zauważyłem — możesz pan nie zapłacić.

Obrzucił mnie zdumionym wzrokiem.

— Nie — odparł — tak robić *u nas* nie wypada.

Wyrazy te jak błyskawica oświetliły mi różnicę między mną a nim; uczułem smutek, niemal wstyd, tem większy, że ów student, zresztą człowiek dość lekkomyślny, pojechał ze mną na wycieczkę, ale jedyną posiadaną markę złożył kolegom za karę nieobecności.

Tak silnem jest poczucie solidarności w niemcu. A w nas? Niewielu chyba ma prawo rzucić na innych kamieniem. Ze szczególną ciekawością śledziłem, badałem w naszem społeczeństwie wszelką pracę zbiorową i wyznaję, że nie spotkałem nigdy pięciu ludzi związanych z sobą ściśle przez czas dłuższy w jakimś wspólnym celu. Nic dziwnego. Cała przeszłość nasza była nadmiernym rozwojem indywidualizmu — teraźniejszość łączeniu sił nie sprzyja. Skąd miały się wziąść bezwiedne popędy i świadome zasady? Jesteśmy ciągle jako kupa piasku, który niby trzyma się razem, ale którego ziarnka wcale się z sobą nie spajają. Chłop zdala stoi od szlachcica, szlachcic od mieszczanina, przemysłowiec od arystokraty, chrześcianin od żyda — u we wszystkich tych warstwach każdy zdala od innych. W uspołecznieniu przedstawiamy ten stopień doskonałości, co ludy pierwotne w arytmetyce: umiemy liczyć do wysokości dobra jednostkowego, ale zbiorowe, ogólne, stanowi jeszcze dla nas cyfrę niedość zrozumiałą.

W tej kupie miejscami złotego, ale niezwartego piasku połącz naiwny marzycielu „pokrewne żywioły,“ wytwórz „stronnictwo,“ zwiąż „jednorodne siły“ — jakie chcesz— zachowawcze czy postępowe. Daremny trud! Luzakiem każdy chodzić chce i chodzi. Wszelkie powinowactwa wystarczą na chwilę, na długość trwania skutków i wspomnień jednej przyjacielskiej uczty. Gdy te ślady się zatrą, wraca indywidualizm— dobrze jeszcze jeśli zdrowy, ale często zwyrodniały. Ten sam „powinowaty duchowo,“ który zdaleka wygląda na towarzysza broni jednego obozu, najmie się innemu, wystąpi o głupstwo przeciwko „swoim“ jawnie, podstawi im nogę skrycie, urządzi współzawodniczą szykanę w porze odnawiania prenumeraty, pchnie innych do walki i schowa się za ich plecy. Są łotry — jak wszędzie — ale u nas najwięcej ludzi niedbałych, lekkomyślnych, w siebie zapatrzonych, niezdolnych do ofiary z najmniejszego drobiazgu na korzyść sprawy ogólniejszej. Wytwarzanie grup, stronnictw społecznych, ekonomicznych, literackich z takiego materyału jest wprost niemożliwem, jest kręceniem bicza z piasku.

To leży w nas—a po za nami?

Rozstrzelenie się sił — dowodzi wielu a także nasz korespondent — nie pozwala wyrobić żadnego programu dla chwili obecnej, lecz garść jednostkowych recept z sobą sprzecznych, opartych tylko na wspólnej, bardzo ogólnikowej podstawie. Przypuśćmy, że jakiś czarodziej zdołał zszyć i skleić jakąś gromadkę ludzi, mających prawo do przewodnictwa innym: jaki oni dziś nakreślą program polityczny, społeczny, ekonomiczny, kiedy żaden w warunkach rzeczywistych się nie spełni? Dla dwu wymiarów można wysnuć teoryę płaszczyzn, ale nigdy teoryę brył. Tymczasem ludzie myślący, łaknący światła a rozbijający sobie czoła w ciemności, gdy życie daje czasem jeden tylko wymiar żądają teoryi dla trzech! Żądają oni, ażeby literaci, redaktorzy nauczyli ich: chodzenia po powierzchni morza bez zatonięcia, mielenia na wiatrakach podczas martwej ciszy, wyrabiania parasoli zasłaniających od deszczu siarczystego, przejeżdżania wozami przez wąziutkie szczeliny, wiercenia skał korzonkami niezapominajek—słowem niemożliwości. Zrozpaczeni zawsze bluźnią. Matka, która traci dziecko, złorzeczy lekarzowi i wymaga od niego cudu; żona, przygnębiona nędzą, złorzeczy upadającemu pod ciężarem pracy mężowi, że ten mało zarabia. Toż samo czynią społeczeństwa, toż samo zastępy czytelników gazet. Zewsząd mnie ciśnie niedola, ciemność ogarnia, drogi wyjścia z niej nie widzę, głuche wycia wilków słyszę, wszystkie nadzieje zawiodły, przy ostatniej świeczce czytam skwapliwie moją gazetę, czytam jeden numer, drugi, dziesiąty — żaden nie daje mi rady, więc rozżalony i rozgniewany wołam do niej: wskazówek praktycznych, objaśnień, programu, któryby się nie gubił w mgłach odległej przyszłości, lecz był mi przewodnikiem w chwili bieżącej! A tu na wszystkie wołania odpowiada stale głos niemiłosierny: ucz się i pracuj! Brzmi on jak szyderstwo. Ucz się i pracuj—kiedy tonę, ginę, głodny jestem, przygnieciony, kiedy mam nóż na gardle! Precz z taką głupią gazetą—zwrócę się do innej! Ale i owa inna również skutecznego lekarstwa nie daje. Zaczynam tedy złorzeczyć całej prasie.

Oto jest zwykły zatarg prawie każdej redakcyi warszawskiej z czytelnikami—zatarg, podsycany wystąpieniami rozmaitych owczarzów, kuglarzów, magików i „profesorów“ prawdziwego patryotyzmu, sprzedających różne gojące maście, orzeźwiające krople, odmładzające i wzmacniające leki, znane pod nazwą „polityczno-społecznych programów.“ Są to mieszaniny nieszkodliwych lub trujących odwarów lichego mózgu. Niecierpliwi probują tych leków— rozważni pozostają wierni dawnej hygienie: albo modlą się i bez wyboru strzegą tradycyi, albo pracują i uczą się, oddziaływając na swoje otoczenie, a tym sposobem uczestniczą w pracy organicznej, wewnętrznej, rozwijającej siły narodu we wszystkich kierunkach.

Przerwijmy wszakże te ogólne rozmyślania—trzeba zajrzeć do kroniki bieżącej. P. Żmurko wytoczył sprawozdawcy *Tygodnika powszechnego* proces o potwarz za to, że ten nazwał jego obraz malowanym na fotografii. Psychologia i socyologia znają okresy, w których pewne objawy powtarzają się w długim szeregu. Są okresy pojedynków o byle co (o paznokieć lub kij bilardowy), bijatyk, polemik, złodziejstw naukowych, uwodzeń itd. Obecna pora należy do procesów prasowych. Śliczna to pora! Ludzie zamiast przeprowadzić z sobą spór przedmiotowy przed publicznością, w pismach, gdzie mają wszelkie po temu środki, każą sądom rozstrzygać

kwestye literackie i artystyczne. Dzięki czasowi, w którym żyję, nieprędko zapewne nad czemkolwiek się zdziwię—więc i to przypomina mi tylko Horacyuszowską regułę. Jednakże pozwalam sobie radzić p. Żmurce, ażeby ze swą pretensyą przeszedł na inną drogę. Nie ma pisma, w którem mógłby się bronić? Otwieram mu *Prawdę*. Jest to droga nietylko właściwsza, ale i z tego także względu lepsza, że każda sprawa, przeprowadzona przez wszystkie sądy, podlega ostatecznemu wyrokowi w trybunale opinii publicznej. Czemu więc od tej instancyi nie zacząć i na niej nie skończyć?

Tak robili zawsze ludzie poważni. Gdyby Darwin, którego oskarżano o upodlenie ludzkości, o szerzenie zepsucia, o usprawiedliwianie zbrodni walką o byt—chciał był dochodzić swej krzywdy sądownie, musiałby był wytoczyć kilka tysięcy procesów, w których dopiero nadwyrężyłby swą godność, zwłaszcza że każdy sąd rozumny — obywatelski, czy państwowy — uznałby się niewłaściwym do rozstrzygania zagadnień biologiczno-etycznych.

W zeszłym tygodniu odbył się poranek muzykalno-dramatyczny na korzyść Królikowskiego, złożonego długą i ciężką chorobą. Obok najlepszych talentów teatru przyjęła udział w tem przedstawieniu pani Popiel-Święcka. Drugi to już raz po opuszczeniu sceny występuje ona pod wezwaniem dobroczynnem i drugi raz budzi w szerokiem kole swych czcicieli zapał, połączony z żalem. Krytyka i publiczność naprzód klaszczą a potem rozpłakują się, przypominając sobie świetne czasy, kiedy „Popielka“ królowała w teatrze. Chyba artystce zagrodziły powrót niepokonane przeszkody, jeśli nie uległa dotąd tylu i tak serdecznym namowom. Kazimierz Odnowiciel nie był z większem upragnieniem do kraju wzywany. Powrót p. Święckiej na scenę odbyłby się niezawodnie w takim tryumfie, do którego senat literatury naszej nie daje prawa nawet uwieńczonym jej bohaterom. Przecież gdyby np. Ujejski zaczął znowu pisać, nie uderzylibyśmy w dzwony, nie wystawilibyśmy mu łuku. A p. Popiel-Święcka już ma łuk, już ma tłum wielbicieli, a nadto jeszcze ma młodość, która jej pozwoliłaby długo używać sławy, i—wcale nie ma równej współzawodniczki, któraby ją pokonać mogła.

Poseł Prawdy,

NA WIDNOKRĘGU.

Jeszcze o chmielu. — Stowarzyszenia jawne i tajne.— O czem pisze a o czem nie pisze *Dziennik łódzki*. — Współzawodnictwo kobiet. — Rewolucya w Witebsku. — Energiczna straż.

Jeżeli nawet wojna serbsko-bułgarska nie spędziła ze szpalt naszych dzienników „kwestyi chmielowej,“ widocznie, że kwestya ta jest, jak się mówi, „na porządku dziennym.“ Drobna to sprawa, ale ponieważ *Prawda* polityki „szerokich horyzontów“ nie uprawia, wolno więc jej zająć się raz jeszcze tym przedmiotem. „Jeden z piwowarów“ zbija w *Kuryerze warszawskim* podane przez to pismo objaśnienie, dlaczego przemysłowcy tutejsi nie kupują krajowego chmielu; twierdzi on, że główną rolę w tym wypadku gra nie kredyt udzielany przez dostawców niemieckich, ale złe upakowanie i rozgatunkowanie miejscowego materyału. Zagranicą producenci zbywają chmiel kupcom, którzy sortują go należycie i tylko wielkie chmielarnie sprzedają wprost browarom. Może to i prawda, może i u nas pośrednicy tacy okażą się niezbędnymi, ale wątpić wolno, czy to jest jedyną przyczyną utrudnionego zbytu. Koloniści czescy na Wołyniu sprzedają setki pudów chmielu wprost do browarów, chociaż pakowanie i gatunkowanie odbywa się w sposób pierwotny. Wreszcie w gubernii mińskiej, powiecie bobrujskim, istnieje wielka chmielarnia, urządzona na sposób zagraniczny, zaopatrzona we wszystkie potrzebne przyrządy, jednakże i ona nie może zbyć swego produktu na miejscu lub w Warszawie, lecz wysyła go do Moskwy. Tamtejsi zaś odbiorcy obniżają ciągle cenę mińskiego chmielu, w ciągu lat kilku spadła ona z 80 na 23 rs. za pud, w czem niema zresztą nic dziwnego, bo we wschodnich guberniach Cesarstwa można nabyć pud chmielu po 8 — 12 rubli. Nie wiem, dlaczego piwowarzy warszawscy wolą płacić za chmiel czeski cztery razy drożej niż za białoruski, ale rozumiem teraz dlaczego wyrób ich z każdym rokiem staje się coraz gorszy.

W Kownie zawiązuje się Towarzystwo lekarskie, w Łodzi zaś Towarzystwo muzyczne. Oba te fakty cieszyłyby mnie wielce, bo uważam wszelką zbiorową działalność bez względu na doniosłość jej celu za bardzo pożądaną pod względem pedagogiczno-społecznym, gdyby nie pewne, niestety, uzasadnione wątpliwości. Towarzystwo lekarskie w Kownie istniało przed kilku laty i było główną widownią plotek, swarów i skandalów. Nie dziwię się zresztą temu, bo *Gazeta polska* objaśniła mię, że w Kownie mieszka około sześćdziesięciu lekarzy; na 40 — 50 tysięczne miasto jest to tak wielki zastęp, że najspokojniej przeczytam wiadomość, iż miejscowi medycy biją się lub procesują o pacyentów. Dlaczego Kowno posiada tylu doktorów, kiedy kilka razy większa Łódź skarży się, że dla niej i 30 za dużo?

Towarzystwo muzyczne łódzkie będzie znowu prawdopodobnie zwyczajnym *Verein'em*, tak przynajmniej sądzi miejscowy *Dziennik*, ponieważ założyciele wydrukowali projekt ustawy tylko w niemieckim *Tageblacie*. Może być jednak, że Towarzystwo nie zostanie wyłącznie niemieckiem, może założyciele nie żywią żadnych giermanizacyjnych zachcianek, ale po prostu tylko posiadają wielką sympatyę dla *Tageblattu*. Przecież o kilka wierszy niżej ten sam *Dziennik* skarży się, że władze miejscowe wszystkie swoje rozporządzenia komunikują tylko redakcyi *Lodzer Zeitung*, pomijając pismo polskie. Nie można jednak chyba podejrzywać osób zajmujących stanowiska urzędowe o protegowanie żywiołu niemieckiego. Jest to tylko niewinna sympatya, dzięki której, co prawda, *Lodzer Zeitung* zdobywa sobie prenumeratorów, którzy jedynie dlatego czytują dziennik niemiecki. Ciekawa rzecz, co też powie o tem *Warszawskij Dniewnik*?

Ciekawszą jeszcze byłaby wszakże odpowiedź *Dziennika łódzkiego* na zapytanie: dlaczego nie podniósł nowego dowodu działalności obywatelskiej firmy Scheibler? Tylokrotnie już czytaliśmy szumne pochwały, z rozmaitych błahych powodów wygłaszane, że pominięcie tak doniosłego faktu potrzebuje wyjaśnień. Ale o co rzecz chodzi? Ni mniej ni więcej tylko o to, że straż ogniowa szejblerowska otrzymała nowy sztandar, sprawiony przez właściciela za 600 rubli. Na jednej stronie tej chorągwi wyszyty jest kask strażacki, bardzo przypominający pikelhaubę pruską, na drugiej widok fabryki na Księżym Młynie; na około zaś napisy: „Freiwillige Feuerwehr zu Pfaffendorf,“ „Gott zur Ehr, dem Nächsten zum Wehr“ i wreszcie: „Muth, Besonnenheit, Ausdauern, Kraft.“

Bardzo ładne hasło, szkoda tylko, że po niemiecku napisane, przydałoby się ono w przekładzie polskim wszystkim prawie naszym stowarzyszeniom, zwłaszcza zaś *Zgodzie* płockiej, której członkowie i w tym roku również nie stawili się na zebranie ogólne w wymaganej przez ustawę liczbie.

Pocieszyć się jednak można, że poczucie łączności obce stowarzyszeniom naszym przejawia się w innej sferze i wytwarza nowe formy działalności społecznej. W Krasnymstawie np. wykryto fabrykę fałszywych asygnat, w której przedsiębiorcy i pracownicy działali zupełnie zgodnie i żadnych starć pomiędzy kapitałem i pracą nie było, stowarzyszeni dzielili pomiędzy siebie zyski i organizacya stosunków wzajemnych nie pozostawiała nic do życzenia. W Dynaburgu znowu i okolicy istnieją stowarzyszenia „zupełnie wiarogodnych“ fałszywych świadków, które posiadają własne kantory i agentów. Instytucya ta działa również prawidłowo i porządnie a członkowie jej z pewnością nie opuszczają posiedzeń.

Takie garnięcie się różnego rodzaju łotrów do pracy zbiorowej świadczy, że zdrowe zasady ekonomiczne, wypędzone z innych warstw społeczeństwa, znalazły przytułek w tej klasie. Nic od dzisiaj zresztą wiadomo, że u nas często między ekonomistą i złodziejem trudno przeprowadzić granicę. Ciężkie czasy przyszły wreszcie i na rzezimieszków, kiedy okradają już aktorów jak np. w Łodzi, zrozumieli oni jednak odrazu, że tylko łączne działanie zbawić ich może, organizują się więc biedacy jak umieją, no... i nie źle im jakoś idzie, pomimo powszechnej *kryzy*, jak pisze pewien światły pedagog.

Zarobek złodziejski upada zinnej jeszcze przyczyny, kobiety zaczynają współzawodniczyć z mężczyznami i w tej gałęzi przemysłu. W powiecie ihumeńskim schwytano dwie baby, które oddawna zajmowały się kradzieżą koni, jedna z nich stawiła zacięty opór i poraniła policyanta.

Nie chcę jednak uogólniać tego faktu, żeby nienarazić się na gniew pięknej „poczwarki,“ która w *Kuryerze warszawskim* zabroniła mężczyznom wyprowadzać jakichkolwiek wniosków z postępków kobiet, dlatego zapewne, że działania ich nieodznaczają się konsekwencyą. Mógłbym więcej jeszcze odpowiedzieć szanownej „poczwarce,“ ale lękam się czy podołam aż dwóm naraz autorkom. Z panią Zapolską od biedy dam sobie radę, nie chcę jednak wyzywać drugiej przeciwniczki, ażeby nie wyjść jak ów komornik w gubernii podolskiej, który przy odbywaniu swej czynności pobity został przez baby a następnie wydalony ze służby przez prezesa, ponieważ „okazał się niezdolnym do pełnienia właściwych obowiązków.“

W Witebsku miały miejsce rozruchy, które jakkolwiek skierowane przeciw żydom, w żadnym razie nie mogą być nazwane antysemickiemi. Zarząd miejski nałożył opłatę za miejsca na placu targowym i prawo pobierania jej wydzierżawił kupcowi Perlsztajnowi. Zaledwie postanowienie to zostało ogłoszonem, tłum, złożony przeważnie z żydów, połamał słupy z taksą. Był to jednak wstęp dopiero, bo gdy w kilka dni później zjechali się na targ wieśniacy, Perlsztajn zaczął pobierać od nich opłatę. Spory przeszły prędko w bójkę, dom Perlsztajna został zdobyty, meble i sprzęty połamane, syn zaś dzierżawcy ciężko raniony. Rozbiwszy mieszkanie Perlsztajna tłum udał się przed gmach rady miejskiej i chciał wtargnąć do wnętrza, ale niedopuścili go żołnierze, którzy z rozkazu władzy pospieszyli z pomocą struchlałym ojcom miasta. Pomimo jednak gróźb oblegający nie ustąpili z placu i nieszczęśliwa „głowa“ miasta wraz z innymi członkami zmuszona była wymknąć się cichaczem przez podwórze i ogrody. Żydzi witebscy działali w tym wypadku zupełnie zgodnie z chrześcianami przeciw swoim współwyznawcom — dzierżawcy i jego pomocnikom.

Kilkakrotnie czytałem w pismach zapewnienie, że dzięki energii nowo-utworzonej straży karczemnej kontrabanda zmniejsza się. Ponieważ wykazy statystyczne spóźniają się zwykle u nas o lat kilka, nie prędko więc jeszcze dowiemy się, czy rze-

czywiście zmniejszył się przywóz szwarcowanej wódki, jeżeli wogóle wiadomości tego rodzaju zasługiwać mogą na wiarę. Natomiast energia straży karczemnej nie może ulegać żadnej wątpliwości. Według doniesienia *Dniewnika warsz.* przedstawiciel jej wraz z dwoma strażnikami policyjnymi przybył na rewizyę do włościanina Właszkiewicza, w domu którego odbywało się wesele. Podczas tej czynności „dosmotrszczyk“ był w czapce na głowie, kiedy zaś jeden z obecnych zwrócił mu uwagę, że w izbie znajdują się portrety świętych, energiczny dozorca przepisów akcyznych przekroczył granice swego obowiązku i zaczął łajać włościan, zapisując jednocześnie nazwiska ich do książeczki. Zniecierpliwieni chłopi wydarli mu papier z ręki i wypchnęli za drzwi, bez oporu, dopiero z sieni, zapewniwszy sobie odwrót dozorca wystrzelił dwukrotnie i zabił... dziecko Właszkiewicza i grajka. Powtarzam więc, iż nie wiem, czy kontrabanda zmniejszy się lub nie, ale że energia jest — to jest.

Jp.

TYDZIEN POLITYCZNY.

Warszawa, d. 19 listopada.

Przewidywana wojna serbsko-bułgarska rozpoczęła się w d. 14 października. Pod pozorem zgwałcenia terytoryum, bez formalnego wypowiedzenia wojny, serbowie wkroczyli na ziemię bułgarską, „zdradziecko i nikczemnie“ — jak wyraża się w manifeście książę Aleksander. Wypadek ten wikła jeszcze bardziej i tak już splątane stosunki polityczne na półwyspie Bałkańskim. Bułgarya znajduje się w zależności lennej od Turcyi, książę Aleksander wezwał też sułtana o pomoc. Trudno jednak przypuścić, żeby Porta stanęła po stronie bułgarów.

Grecya za przykładem Serbii zbroi się także, ale ponieważ niema pod ręką pobratymców, których mogłaby złupić, zwróci się chyba wprost przeciw Turcyi. Dzienniki rosyjskie donoszą, że i „orły“ czarnogórskie nie drzemią i zapewne wkrótce spuszczą się ze swych gniazd skalistych na połów nosów i uszów albańskich. Nie wdając się w ocenę tej przerażającej gmatwaniny, notować będziemy tylko przebieg wypadków.

W starciu orężnem Serbia pozyskała już i zdaje się zapewnioną ma na przyszłość wielką przewagę, którą daje jej dobra organizacya armii i umiejętne przygotowanie działań wojennych. Waleczne, ale nie wyrobione wojska bułgarskie, pozbawione oficerów doświadczonych, którzy opuścili je w przededniu walki, nie mogą skutecznie stawić czoła napastnikom, którzy zresztą mają za sobą i przewagę liczby. Armia serbska wkroczyła do Bułgaryi dwoma oddziałami; główny, złożony z 4 dywizyj i zostający pod dowództwem króla Milana, dąży do Sofii, drugi zaś działa przeciw Widyniowi. Książe bułgarski, którego wiadomość o rozpoczęciu wojny zastałała w Filipopolu, pospieszył natychmiast na plac boju, ostatnie depesze donoszą, że i milicya rumelijska przybyła już do Sofii. Zanim jednak bułgarzy zdołają zebrać się, serbowie mogą pobić ich kilkakrotnie i zająć stolicę.

W pierwszych potyczkach bułgarzy cofnęli się na wszystkich punktach, stawiąc jednak od czasu do czasu zacięty opór. Obrona wąwozów dragomańskich (na drodze do Sofii) nie udała się, ponieważ serbowie obeszli tę pozycyę i obecnie armia bułgarska gromadzi się pod Śliwnicą. Miejscowość ta nadaje się do obrony, gdyż poprzednio wzniesiono tu reduty. Oczekiwana bitwa bitwa rozstrzygnie o losie Sofii.

Dnia 17 oddział serbski, dowodzony przez generała Leszianina, stoczył bitwę z bułgarami pomiędzy Adlie i Widyniem. Bułgarowie ponieśli klęskę, stracili około 1,000 jeńców i cofnęli się w nieporządku.

Taki jest dotychczasowy przebieg walki. Czy wojska bułgarskie rozrzucone przeważnie po Rumelii zdołają zebrać się na czas, czy lud cały stanie w obronie kraju i powstrzyma najezdców — odpowiedzieć dziś trudno. Nie pierwszy to raz zresztą przegrywa strona, która broni słusznej sprawy. Widocznie w myśl zasady, że pobity zawsze winien i rząd ateński występuje również z pretensyą, że urzędnicy bułgarscy ciemiężą — greków.

Tymczasem dyplomaci odbywają w dalszym ciągu konferencyę i warzą piwo, którego nikt pić nie chce. Wniosek angielski o wysłuchaniu żądań ludności Rumelii został odrzucony wskutek opozycyi przedstawicieli trzech cesarstw, którzy zgodnie żądają przywrócenia dawnego stanu.

Postawa Austryi budzi jednak w dziennikach petersburskich pewne podejrzenia, zdaje się, uzasadnione. Wybuch wojny czyni przywrócenie poprzedniego stanu rzeczy niemożliwym, Serbia zażąda bowiem wynagrodzenia, Rosya zaś nie zgodzi się na uszczuplenie Bułgaryi. Nie będziemy powtarzali uchwał konferencyi, które wobec toczącej się walki i nieprzewidzianych jej następstw tracą wszelkie praktyczne znaczenie. Zaznaczamy tylko, że Anglia wytrwale popiera połączenie obu Bułgaryj i stara się odroczyć stanowcze rozwiązanie sprawy, aż do czasu ukończenia wyborów do parlamentu.

Wojna Anglii z Birmą jest nieuniknioną. Rząd birmański odrzucił propozycye pokojowe i gotuje się do walki. Oświadcza on, że europejczycy nie będą prześladowani, ale zarazem dodaje, że będzie czas wyrżnąć ich wtedy, kiedy anglicy wkroczą do Birmanii. To przynajmniej szczerze.

Francuska Izba deputowanych wybrała już t. z. biuro t j. prezesa i czterech wiceprezesów. Przy wyborach tymczasowych skrajni radykaliści głosowali wraz z monarchistami przeciw kandydatowi umiarkowanych. Obecnie jednak zawarto tymczasową ugodę, prezesem został Floquet (radykalista). Kongres dla wyboru prezydenta zbierze się 12 grudnia prawdopodobnem jest powtórne wybranie Grevy'ego, co prawda, jako najmniejsze złe, bo niema poważnych kandydatów, którzy mogliby zebrać potrzebną ilość głosów.

W Stanach Zjednoczonych w wielu miastach wybuchły rozruchy, ofiarami których są chińczycy. Amerykanie, którzy nie znają antysemityzmu, mają u siebie w domu teraz coś bardzo podobnego. Rząd przedsięwziął energiczne środki celem poskromienia zaburzeń.

Konstantynopol. Turcya odmówiła pomocy bułgarom i obiecuje ją tylko w razie przywrócenia „status quo.“

Belgrad. W bitwie pod Izworem bułgarzy zostali pobici. Książe Aleksander podobno ranione.

Filipopol. Lud podpisuje zbiorowe petycye do Cesarza rosyjskiego z prośbą o pomoc.

DOŚWIADCZENIA PASTEURA

(wścieklizna u ludzi).

Czytelnikom naszym znane są ogólnie doświadczenia Pasteur'a, dotyczące szczepienia wścieklizny zwierzętom. Obecnie przedstawił on paryskiej Akademii nauk sprawozdanie o sposobie zapobiegania wściekliźnie u człowieka już ukąszonego. Metoda uczonego francuskiego oparta jest na całym szeregu poprzednio zbadanych faktów. Oto jej podstawy:

Jeżeli królikowi zaszczepimy cząstkę rdzenia kręgowego psa, dotkniętego wścieklizną, to po upływie 15 dniowego okresu wylęgania zarazka choroba rozwija się zawsze. Powtarzając zaś szczepienie z jednego królika na drugiego, skracamy stopniowo okres wylęgania i po 40—50 przeniesieniach zmniejszamy go do 7 dni. Doświadczenia tego rodzaju, rozpoczęte w listopadzie 1882 roku, trwają dotychczas bez przerwy.

Kawałki rdzenia kręgowego uległych wściekliznie królików, zawieszone w miejscu suchem, tracą powoli swą jadowitość, która wreszcie znika zupełnie. Czas potrzebny do tego zależy od grubości wycinków, a więcej jeszcze od ciepłoty zewnętrznej; w zimnem powietrzu bowiem jadowitość utrzymuje się dłużej.

Ażeby zabezpieczyć psa od wścieklizny, Pasteur postępuje w ten sposób: W kilkunastu buteleczkach zawiesza codziennie kawałek rdzenia kręgowego królika, zdechłego na wściekliznę, która rozwinęła się w 7 dni po zaszczepieniu. Przygotowawszy zarazek, wstrzykuje psu codziennie pełną szpryckę t. z. wyjałowionego bulionu, w którym roztarty został kawałek rdzenia wysuszonego w buteleczce. Rozumie się, że na początek brać należy zarazki najdawniejsze, które już bynajmniej nie są jadowite. W następnych dniach powtarza wstrzykiwania, biorąc zarazki coraz późniejsze, zwykle w odstępach dwóch dni, póki wreszcie nie dojdzie kolej do rdzenia bardzo jadowitego, który umieszczony był w buteleczce tylko w ciągu jednego lub dwóch dni. Po ukończeniu tego szeregu wstrzykiwań pies zostaje ubezpieczony od choroby i można bezkarnie szczepić mu wściekliznę nietylko pod skórę, ale nawet na powierzchnię mózgu. W ten sposób Pasteur zabezpieczył od wścieklizny przeszło 50 psów. Nareszcie przyprowadzono mu dziewięcioletniego chłopca Józefa Meistera, pokąsanego silnie przez psa wściekłego. Większe rany wypalone były w 12 godzin po wypadku kwasem fenilowym. Zachęcony przez kolegów uczony zdecydował się zastosować na chłopcu metodę zapobiegawczą, wypróbowaną już na psach. Dnia 6 lipca, wieczorem, w 60 godzin po ukąszeniu, wstrzyknięto chłopcu pod skórę pół szprycki płynu, z roztartym rdzeniem kręgowym królika, który zdechł przed 15 dniami; później w ciągu dwóch dni następnych wstrzykiwano mu dwa razy dziennie zarazki coraz świeższe, wszystkie one jednak jak również użyte w d. 9 i 10 lipca nie były jadowite. Dopiero rdzenie używane od 11 do 16 lipca, t. j. do czasu ukończenia doświadczeń zawierały jad coraz silniejszy i wstrzykiwane królikom wywoływały objawy wścieklizny. W ostatnich dniach Pasteur wstrzykiwał chłopcu jad przez liczne przeniesienia wzmocniony, który zaszczepiony zwierzętom świeżym wywoływał objawy choroby już po 7 dniach.

Doświadczenie udało się więc najzupełniej, chłopiec został ocalony i możliwość zabezpieczania od wścieklizny osób już pokąsanych nie ulega, zdaje się, wątpliwości. Należy jednak jeszcze określić czas, jaki upłynąć może od chwili pokąsania do rozpoczęcia leczenia zapobiegawczego z pomyślnym rezultatem. Nie potrzeba dodawać, że wścieklizny już rozwiniętej metoda Pasteura nie leczy wcale, chociaż pisma codzienne w ostatnich dniach doniosły, że znakomity uczony oznajmił, iż posiada również lekarstwo i na chorobę już rozwiniętą, ale środek ten nie jest jeszcze należycie wypróbowany.

Sposób działania metody zapobiegawczej rozwojowi wścieklizny, po ukąszeniu—nie został dokładnie wyjaśniony. Sam Pasteur

nie kusi się o to dzisiaj jeszcze, gdyż brak mu większej liczby doświadczeń, podaje więc tylko kilka uwag i spostrzeżeń. Nie mówiąc już o znanym powszechnie fakcie stopniowego osłabienia jadów zabójczych, uczony francuski podnosi tę okoliczność, że niektóre bakterye chorobotwórcze wytwarzają w sztucznej hodowli substancye dla siebie samych szkodliwe, do takich należą np. mikroby cholery kur i tyfusu u świń. Bardzo być może, kończy Pasteur, że to, co stanowi jad wścieklizny, rozpada się na dwa odrębne składniki i obok „żywego" a raczej organizowanego zarazka, który rozmnaża się w układzie nerwowym, znajduje się także zarazek nieustrojowy (chemiczny), posiadający szczególną własność wstrzymywania rozwoju poprzedniego. Jest to hypoteza dotąd mało jeszcze uzasadniona, ale w jakikolwiek sposób tłomaczyć będziemy sobie działanie metody zapobiegawczej, nie ulega wątpliwości, że odkrycie Pasteura w zastosowaniu wydaje już pomyślne rezultaty.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Budżet Warszawy na rok przyszły wykazuje 3,144,859 rs. 87 kop. dochodów i 3,144,644 rs. 18 kop. rozchodów.

Tajne gorzelnie. Zakłady tego rodzaju istnieją w znacznej liczbie na Litwie. W r. z. w dwóch tylko powiatach wileńskim i dziśnieńskim odkryto ich 30, a w r. b. do 13 lipca 15.

Pomnik Zygmunta, według zdania specyalnej komisyi, wymaga gruntownej naprawy, na którą miasto nie ma funduszów. Proponowano na ten cel zbierać składki, ale p. S. Kronenberg i L. Krasiński oświadczyli, że koszta reparacyi pokryją sami. Ofiara ta wymaga wszakże zatwierdzenia władzy.

Ciekawy szczegół. Korespondent warszawski *Kraju* donosi, że księża coraz częściej usuwają się dobrowolnie od wykładów religii katolickiej w szkołach.

Muzeum etnograficzne w Warszawie ma być otwarte w roku przyszłym, obecnie już inicyatorowie skrzętnie zbierają okazy. Szkoda jednak, że rzecz cała odbywa się w tajemnicy.

Prasa polska. Na Górnym Szlązku, w Mikułowie wychodzić zaczęło od 1 października pismo ludowe p. t. *Zdrowaś Marya* (?).

Przemysł. Olejarnie na wielką skalę powstają w Ząbkowicach i pod Warszawą, w Sosnowcu fabryka sody, w Warszawie zaś fabryka obuwia mechanicznego.

Kantory pocztowe w gub. nadbałtyckich przyjmują obecnie listy i posyłki tylko z adresami w języku rosyjskim.

Nowy podział Polski. Tak nazywa *Warsz. Dziennik* regulacyę granicy między Rosyą i Austryą, która bez przelewu krwi powiększyła swe terytoryum o 36½ morgów.

Dynastya hrubieszowska. Pod tym tytułem *Dziew. warszawskij* zamieszcza wiadomość o zmianie, jaka zaszła w *Towarzystwie hrubieszowskiem*, ustanowionem niegdyś przez Staszyca. Przewodnictwo tej instytucyi powierzone było rodzinie Grothusów i przechodziło dziedzicznie z ojca na syna. Otóż teraźniejszy prezes Gustaw Grothus, który przyjął udział w powstaniu 1863 r. i emigrował później zagranicę, po powrocie do kraju „nie uważał za potrzebne zmieniać przekonań politycznych" i zaczął korzystać ze swego stanowiska w duchu przeciwnym rządowi. „Rosyjska prawosławna ludność nieutwierdzona jeszcze w wierze swoich przodków znajdowała się w zupełnej zależności od człowieka usposobionego wrogo dla rosyan i dla prawosławia," słowem, według *Dziewnika* p. Grothus „stał się narzędziem propagandy katolickiej wpośród byłych unitów." Władza położyła wreszcie kres tym nadużyciom. Grothus został wysłany z gr... ic guberniі lubelskiej, a obowiązki prezesa po...ierzono burmistrzowi m. Hrubieszowa.

Teatr poznański, zasilany składkami całego kraju, sprowadza na zimę operę *włoską*, której przygrywać będzie orkiestra *niemiecka*.

Muzeum pszczelnicze. Pożyteczna ta dotychczas instytucya weszła na złą drogę. Sprawozdanie komisyi rewizyjnej powiada, że księgi prowadzone były niedbale, wydatki robione nieopatrznie. Założenie cieplarni i fabryki pierników, bez wiedzy i zgody stowarzyszonych, naraziło instytucyę na straty. Obok tego okazało się, że dzierżawy nieopłacono a kasa pusta. Świadomi rzeczy utrzymują jednak, że w tem wszystkiem niema złej woli lub oszustwa, przyczyną zaś tych smutnych wydarzeń jest zarozumiałość i nieoględność kierownika, który tymczasowo został usunięty, na miejsce zaś jego wybrano komisyę zarządzającą.

Przemysł na Wołyniu. W r. z. znajdowało się w gub. Wołyńskiej 866 zakładów przemysłowych i fabryk, w których pracowało 12,585 robotników. Produkcya ogólna wynosiła 14,002,252 rs. z czego 7,959,381 rs. przypada na 12 cukrowni 3,414,833 na 108 gorzelni. W stosunku do 1883 r. wytwórczość zwiększyła się o 1,234,152 ruble.

Mundury studenckie według nowego wzoru zaprowadzone będą i w uniwersytecie tutejszym.

Budowa kolei z Siedlec do Małkini już rozpoczęła się.

Szkoły mleczarskie. Departament rolnictwa urządza kilka szkół mleczarskich, z których jedną w Królestwie.

Kurator okręgu naukowego kijowskiego odmówił wszystkim studentom żydom uwolnienia od wpisu, chociaż za niektórymi wstawiała się rada uniwersytecka.

Prasa rosyjska. Gazeta kijowska *Zaria* przestała na jakiś czas wychodzić z powodu zmiany redaktora.

Bibliografia. Wincenty Rapacki. *Grzechy królewskie* powieść historyczna w 2 tomach. Warszawa 1886 r.

Sprawozdanie Towarzystwa bratniej pomocy studentów politechniki lwowskiej świadczy, że instytucya ta rozwija się. W r. ubiegłym Towarzystwo liczyło 195 członków zwyczajnych, udzieliło 2,337 złr. pożyczek, powiększyło i uporządkowało bibliotekę oraz zbiór pism. Fundusz żelazny wynosi obecnie 8,800 złr. Na rok 1886 ogłoszono konkurs na temat: „Wykazać i uzasadnić jakie gałęzie przemysłu bądź mechanicznego bądź chemicznego mają naturalną podstawę w zasobach ekonomicznych kraju naszego."

Zmarli. Mikołaj Ustyanowicz, pisarz rusiński.

— E. Karnowicz, historyk i publicysta rosyjski, autor wielu opowiadań z dziejów Polski, pisarz sumienny i dosyć bezstronny.

— Franciszek Kotek, redaktor *Pokroku*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Szlachcicowi zagon. Świeżo wydany *Słowniczek wyrazów obcych* potrzebie pańskiej, jeśli nie całkowicie, to w znacznej części zadość uczyni. Przewodnik dla samouków niewątpliwie wydamy; opóźnia się, bo przedstawia większe trudności, niż na pozór sądzić można. Tam pan znajdzie wskazówki, dla których tu nie mamy miejsca. Beletrystyce poświęcone są: *Kłosy, Tygodnik ilustr. Biesiada, Tygodnik romansów i powieści* itd.

P. Karolu, Oj p. Karolu, co się z Pana zrobiło!

P. K. Wit. Odrobinę cierpliwości! Gdy minie czas odnawiania prenumeraty, umilkną i te skargi, i te napaści, i te rozdzierania szat kapłańskich, i te bezczelne rzucania w twarz drugim własnego błota. Przekupnie znowu siądą za stołami swych kramów i zaczną spokojnie liczyć zarobione na tym jarmarku grosze.

P. Bernardowi. Jest to sprawa tak bzdurna, że, jak Pan zauważyłeś, wcale nas nie gniewa, a mocno śmieszy. Niema po prostu o czem mówić.

S. O. Naprzód list pański bezimienny, a powtóre nie donosi nowiny w tem, że hr. R. oburzyła się na żądanie 20 rs. miesięcznie za korepetycyę. Im wyżej, tem niżej ceniona jest ludzka—praca.

Al. M. Owszem, ale zawsze z podpisem dla wiadomości redakcyi.

P. Zofii K. Nie mogliśmy.

Zofii M. Znaczenie tych nazw korespondent nasz paryski wytłomaczył w nr. 42 *Prawdy*. Radę co do wyboru podręcznika hygieny udzieli Pani redakcya *Zdrowia*. Czytelnia dla kobiet jest przedsięwzięciem bardzo pięknem i pożytecznem, życzymy jej największego powodzenia, ale cóż więcej mamy zrobić w tej sprawie, która jest ostatecznie drobną?

B. M. w Kijowie. Nie wolno.

Redakcyi Gazety losowań. W odpowiedzi na „koniecznąodprawę" p. Z. H. nadesłał nam obszerny jej rozbiór, obalający zarzuty i wykazujący, że replika Sz. Panów minęła się z treścią artykułów u nas drukowanych, i przemilczała o błędach w *Gazecie* popełnionych. Ponieważ nadto moglibyśmy zamieńć tylko *obie* „odprawy," na co nie mamy miejsca, więc przesyłamy „Gazecie" objaśnienia p. Z. H., w rękopisie.

P. Hen. Lind. Ani utwor, ani jego przekład nie dla nas.

P. Edmundowi R. Do zwrotu.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Ноября 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.